TYGODNIK ILLUSTROWANY

№ 28. Prenumerata w Warszawie rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2, miesięcznie kop. 67½.

Warszawa, 26 marca / 7 kwietnia 1860.

Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w cesarstwie rocznie rsr. 12, półrocz. rsr. 6, kwartal. rs. 3. Koperta oddzielna 2 rs. rocznie.

TOM I.

TREŚĆ NUMERU.

Michał Stachowicz (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Treny żałobne stolików od kart, wiérsz Wacł. Szymanowskiego. — Kościół parafialny w Stobnicy (z drzeworytem). — Kropielnica w kościele jeżowskim (z drzeworytem). — Święta Wielkanocne: Staropolskie święcone (z drzeworytem). Wielki czwartek.—Kronika sztuk pięknych.— Historya jedynaczki w 22 obrazkach, dalszy ciąg (z cztérema drzeworytami).— Szachy.— Zadanie wieżowe.— Rebus. — Sprawozdanie z postępu nauk przyrodzonych, przemysłu i wynalazków,—Piérwsze przedstawienie na żytomierskim teatrze komedyi „Dla miłego grosza“. — Obrazy wielkopolskie (dokończenie). — Księgarz uliczny, obrazek z Wilna Wł. Syrokomli.— Doniesienia.

Michał Stachowicz.

Michał Stachowicz urodził się dnia 14 sierpnia 1768 r. w Krakowie, w chwili gdy miasto, zagrożone szturmem, broniło się zapamiętale, a cztéréj starsi jego bracia chlubną śmierć w obronie rodzinnego grodu ponieśli.

Snadź same nieszczęśliwe okoliczności miały wypiastować dziecinne jego lata, bo nie mając jeszcze roku, przez niedozór spadł ze stołu na ziemię i tak silnie uderzył się w głowę, że w skutek tego głos utracił.

W życiu niektórych ludzi tak niepojęte zdarzenia mają miejsce, że trudno wytłumaczyć je sobie za pośrednictwem zimnego rozumu, który częstokroć sam z sobą bywa w sprzeczności.

Ileż to razy stoimy nad przepaścią, a przecież gdy wyczerpniemy wszystkie już możliwe środki ratunku, jakaś opatrzna, niczém niezbadana siła zsyła nam ocalenie.

Są rzeczy, o których się mędrcom naszym nie śniło, mówi poeta. Gdy rodzice Stachowicza utracili już nadzieję wyleczenia niemocy ostatniego dziecięcia swego i polecili Bogu los jego przyszły, powtórny przypadek staje się zbawiennym ku temu środkiem.

W piątym roku życia, strużąc drewienka dla zabawki, przez raptowne usunięcie się noża, przebił sobie lewą rękę na wylot, a boleść i przerażenie gwałtowny krzyk z piersi mu wydarły. Wypadek ten tak przeważne na umyśle matki Stachowicza zrobił wrażenie, że od téj chwili uwierzyła w wyższe przeznaczenie syna.

W zwykłych okolicznościach upływał pacholęcy wiek Stachowicza; umysł jego, wrażliwy i niespokojny, chciwie szukał zajęcia, działania, a że był wątłego zdrowia, rodzice często hamować w nim musieli zbyteczny pochop do pracy. Wcześnie obeznany przez matkę ze szczegółami wypadków własnego życia i rodziny swojéj, rozwinął w sercu gorącą miłość Boga i kraju. Przebywając więcéj w domu jak po za domem, zabawiał się kréśleniem różnych sprzętów gospodarskich, przerabianiem wizerunków porozwieszanych na ścianach i przeróżnych figur, jakie mu się przesuwały przed oknami rodzicielskiego dworka.

Już ojciec myślał o zapewnieniu mu przyszłości, i widząc zdolność jego do wszelkich robót ręcznych, chciał go oddać do rzemiosła; ale gdy po naradzeniu się z matką nabył przekonania, że większe wytężenie sił mogłoby zgubnie oddziałać na delikatny organizm Michała, a przytém dostrzegł w nim wielką skłonność do rysunku, oddał go do malarza Molitora, a następnie do Kaźmirza Mołodzińskiego, u którego przez lat siedm pozostawał.

Z każdym dniem wrodzony jego talent rozwijał się szybko, coraz to nowe przywdziewając na się szaty. Wracający podówczas z Włoch F. Smuglewicz, widząc jego prace pełne świeżości i oryginalne, usilnie go namawiał, aby się z nim udał do Warszawy, gdzie większe pole działania i świetną przyszłość mu obiecywał.

Jednakże Stachowicz, przywiązany do rodziny i miejsca, które mu żywo przypominało i wiek młodzieńczy, i najdroższe pamiątki przeszłości historycznéj kraju, nawykły przytém do życia cichego, do obcowania z ludem prostym, wśród którego wzrósł i czerpał serdeczny zapał wszystkich natchnień swoich, nie przyjął wezwania.

Trudno zaiste sądzić, czy wydalenie się z miejsca byłoby dodatnio wpłynęło na rozwój talentu Stachowicza, mając na względzie charakter jego religijny, umysł żywy i pełen prostoty. Zapewne byłby zyskał na ukształceniu czysto formalném, na którém mu zbywało; ale czyby wśród affektacyi i galanteryi w sztuce, jaka podówczas panowała w stolicy, nie był stracił głębokiego poczucia narodowego obyczaju, który całém jego sercem zawładnął,— nie wiemy. Nazbyt mało wtedy było ludzi ze szczytném pojęciem warunków sztuki, zwłaszcza w zastosowaniu do malarstwa, ażeby sądem swoim i zachętą wpłynąć mogli na ten znakomity talent wskróś narodowy; ztąd, mimo poetycznego usposobienia, wrodzonego daru obserwacyi, nadzwyczajnéj twórczości i łatwości z jaką władał pędzlem, brak artystycznego ukształcenia osłabił działalność jego, z wielką szkodą dla narodowéj sztuki, któréj nosił w sobie czyste zarzewie.

MICHAŁ STACHOWICZ.
(Rysował Gerson z własnoręcznego szkicu Stachowicza, rytował Styfi w Warszawie.)

Piérwsze prace Stachowicza są jakby odbiciem bogobojnego wychowania domowego, jakby modlitwą dziękczynną ku Stwórcy, który niemowlęctwo jego opieką swoją osłonił. Są to obrazy religijnéj treści, w których przebija się jakaś rzewność i słodycz pełna spokoju.

Daléj cały zasób zapału jego przechyla się na pole zdarzeń historycznéj przeszłości, scen współczesnych z życia ludu, i tu w całéj pełni okazuje się wybitna jego indywidualność. Bitwa na Psiém polu (Hundsfeld), bitwa pod Byczyną, uroczystości wojenne

w Krakowie i obozy polskie ówczesne, odzyskanie Krakowa przez wojska księstwa warszawskiego pod księciem Józefem Poniatowskim, należą do ważniejszych jego w tym czasie kompozycyj. W chwilach te dwie epoki rozdzielających, malował obrazy do wielu kościołów w Krakowie, Kielcach, Przemyślu i innych miastach polskich.

Podczas odnawiania pałacu biskupiego przez Jana Woronicza, biskupa krakowskiego w r. 1816, Stachowicz wezwany został do ozdobienia komnat obrazami, mającemi przedstawiać dzieje krajowe, widoki miejsc słynnych i zwyczaje ludu. Przyjąwszy wezwanie, z właściwą sobie płodnością wyobraźni wykonał tę ogromną pracę w przeciągu 14 miesięcy. Nieodżałowaną nazwać można stratą, że dzieło to, zkądinąd tak piękne, nie zostało wsparte wyższą świadomością artystyczną sztuki monumentalnéj, o któréj niestety skromny umysł Stachowicza nie miał dostatecznego pojęcia.

W późniejszym czasie, za staraniem i nakładem ks. Sebastyana hr. Sierakowskiego, rektora uniwersytetu jagiellońskiego, prócz wielu ozdób i licznych portretów wsławionych w akademii mężów, wykonał jedenaście wielkich obrazów, mających za treść zdarzenia z dziejów samejże akademii. Pracy téj dokonał Stachowicz bez żadnéj obcéj pomocy roku 1821. Kompozycye te szacownym są pomnikiem przeszłości, pomimo usterek historycznych i niedostatecznéj poprawności rysunku.

Podobnego rodzaju malowania wykonywał także Stachowicz po wielu pałacach zamożnych obywateli okolic Krakowa.

W ostatnich chwilach życia, zaniechawszy malowania ściennego, wiele jeszcze wykonał obrazów religijnych, scen z życia ludu i zdarzeń z historyi krajowéj. Roku 1817 został mianowany professorem rysunku w liceum św. Barbary, a późniéj członkiem Towarzystwa naukowego krakowskiego. Nakoniec, po życiu pełném trudów i mozolnéj pracy na cześć narodu swego poświęconéj, zszedł z tego świata, mając lat 57, dnia 26 marca 1825 r.

Michał Stachowicz nie należy do tych geniuszów, co sobie we wszystkiém wystarczyć umieją, co bez względu na okoliczności czasowe, nadają narodowi nowy kierunek myśli i dążeń w dziedzinie nauki lub sztuki. Jest to znakomity talent, serdeczny, o bujnéj wyobraźni, co niecierpliwie pragnie każdy mętny, niepewny obraz myśli swojéj odziać w kształty, nie troszcząc się wcale o jego dojrzałość, o wyższą prawdę wewnętrzną, słowem o doskonałą jedność pomysłu z jego zewnętrzną obłoczą.

Pomysły Stachowicza nie noszą na sobie cechy téj jedności, owszem wszędzie czuć się daje niepokój wyobraźni, która mu coraz nowe nasuwała figury i zmuszała do szybkiego kończenia jednych, by mógł inne ubrać w kształty. Ztąd, obok wielu pięknych postaci, pełnych oryginalnego wejrzenia, znajdują się w jego obrazach i niekształtne figury, bez powabu, jakby inną wykonane ręką. Wszędzie pośpiech, niecierpliwość w doprowadzeniu kompozycyi do końca; ale za to niezmierne bogactwo fizyognomij, ruchów oryginalnych i szczęśliwie pomyślanych.

Z tych kilku zarysów jego artystycznego usposobienia łatwo pojąć, dlaczego historyczne obrazy Stachowicza, osobliwie téż te, które przedstawiają fakta odleglejszéj epoki, nie mają innéj wartości, jak pamiątkową, gdyż znaczenie historycznych kompozycyj polega na głębokiém zbadaniu ducha dziejów, co przy wrażliwości Stachowicza było niepodobném. Religijne jego pomysły, jakkolwiek często wadliwe, więcéj od tamtych mają zalet, zwłaszcza gdzie uczucie góruje nad myślą.

Najwięcéj jednak rodzime obyczaje wzruszały czułe jego serce. Wszystko co tylko jakąkolwiek miało styczność z dawnemi pamiątkami, w czém się uwydatniał ruch myśli i uczuć ludu, trud krwawy i radość szczéra, każdy, nawet najsubtelniejszy objaw życia sielskiego, był dla niego przedmiotem czci serdecznéj; w tym téż rodzaju, przez niego u nas prawie rozpoczętym, leży cała jego artystyczna indywidualność i wysokie znaczenie w sztuce krajowéj.

W roku 1830 w Krakowie powzięto zamiar wydania: Gabinetu historycznego pałacu biskupów krakowskich, to jest rycin wszystkich malowań tam znajdujących się, z opisami takowych. Zamiar ten, dla braku funduszów, nie przyszedł do skutku, ze stratą dla sztuki ojczystéj. Przed kilką laty tę piękną pracę podjął artysta lwowski, p. Marcin Jabłoński, który tamże wydawać zaczął litografie obrazów Stachowicza z pałacu biskupów krakowskich, przerysowane przez Michała Bogusza Stęczyńskiego i Teofila Żychowicza. Jaki obrót wzięło w następstwie to pracowite i z takim kosztem podjęte przedsięwzięcie, dostatecznie nie wiemy; pożądanąby jednak było rzeczą, aby te rysunki, jakkolwiek nie odpowiadające w zupełności warunkom niezbędnym w podobném wydawnictwie, zostały ukończone, chociażby dla saméj pamiątki ówczesnego kierunku sztuki krajowéj.

Kończąc ten krótki rys życia Michała Stachowicza, dołączamy czytelnikom naszym drzeworyt jego portretu, otoczonego godłami sztuki malarskiéj, z własnoręcznego rysunku Stachowicza, udzielonego redakcyi Tygodnika przez p. Aleksandra Lessera.

Kronika tygodniowa.

Więc już mija wielki tydzień, ostatni tydzień pokutniczéj pory, a odżywiająca się natura, a słońce coraz częściéj zaglądające do nas, a zieloność zaledwie drobniutką siatką przebijająca się przez ostatnią powłokę śniegu, zwiastują nam święto zmartwychwstania Bożego. W chwili może, kiedy czytać będziecie te wyrazy, stoły wasze uginające się pod dobytkiem domowym czekają na poświęcenie ich przez kapłana—chléb wasz codzienny otrzyma doroczne błogosławieństwo, żeby w niezmiennéj obfitości szedł ciągle na pożytek ludziom dobréj woli. Dajże Boże, żeby nam i duchowego nie zabrakło chleba, a niechaj on będzie zdrów i posilny, tak ażeby się obrócił na dobre tym, którzy go pożądają.

Bo kiedy błogosławimy to co ciału w pożytek pójdzie, czemuż nie błogosławić tego co ma iść na korzyść ducha! Niechby ci którzy łakną i pragną tego posiłku, zawsze w nim zdrowie znaleźć mogli.

Obchody grobów, pomimo żałobnego swego pozoru, należą może do najwspanialszych dorocznych uroczystości religijnych. Pojął to dobrze kościół katolicki, że wrażenia zmysłowe silnie przemawiają do ducha. Dlatego to ustanowiono przystrojenie ołtarzy, ten dym kadzideł, te światła jarzące, te pienia pobożne odzywające się po świątyniach. Wszystko to po części działając na zmysły, utrzymuje zarazem ducha w uroczystym nastroju, który usposabia ku modlitwie.

My jednak szczérze wyznamy, że dla nas muzyka odzywająca się po świątyniach nie zawsze jest pomocą w tém religijném usposobieniu. Przez to samo, że dla wielu jest ona ponętą, że sprowadza ścisk do niektórych wyłącznie kościołów, już nam się niewłaściwą wydaje. Często ten i ów odwraca twarz od ołtarza, żeby przyjrzéć się śpiéwającym, natęża słuch, ażeby żadnego dźwięku nie uronić. A czyliż w takiém usposobieniu można się szczérze modlić? Wielką jest zasługa tych, którzy pragną tym sposobem dopomódz do chwały Bożéj, ale zbyt ona nam światowe przypomina przyjemności. Często wrażenie które się ztamtąd wynosi, nie jest wcale podniesieniem ducha do spraw religijnych. Wychodzący z kościoła odzywają się z krytyką albo pochwałami: „ten pan śpiéwał dobrze, ta pani w swojém *solo* sfałszowała nutę, ten chór nie udał się, bo głosy nie były zgodne i *tempo* niewłaściwe, widać za mało prób odbyto.“ A czyż to wszystko potrzebne, czyż to właściwe w takich razach? Kościół nie powinien być szrankami, w którychby się mniejsze albo większe talenta dobijały o palmę zwycięztwa.

To mi przypomina, że żył tu kiedyś w Warszawie pewien skrzypek bardzo nieszczęśliwy w swojéj karyerze muzykalnéj. Miał on rzeczywisty talent i umiejętności nie mało, ale cóż to mogło pomódz, kiedy publiczność go nie lubiła. Tak to się często zdarza, do wszystkiego potrzeba szczęścia, ogół ma niewytłumaczone swoje sympatye i antypatye. Skrzypek nasz nie mógł się pokazać na żadnym koncercie, żeby go nie wysykano; w chwilach najefektowniejszych słuchacze wybuchali serdecznym śmiéchem, nigdy nie mógł ukończyć rozpoczętego ustępu, słowem była to prawdziwa ofiara publiczności.

A jak to zwykle bywa, koledzy, zamiast litować się nad jego nieszczęściem, stanowili jeszcze echo tych wszystkich nagan publicznych. Był mianowicie jeden z nich, który stał się prawdziwą plagą dla nieszczęśliwego artysty, zawsze go wyszydzał, zawsze śmiał się z niego i przepowiadał mu niepowodzenie, a jak na nieszczęście te jego przepowiednie zwykle sprawdzały się.

Owoż raz urządzano uroczystość muzyczną w pewnym kościele i skrzypek nasz zaproszony został do niéj. Miał nawet wyznaczone sobie solo, które z wielką starannością odegrał. Po ukończeniu uroczystości spotkał się z owym wyszydzającym kolegą, i szczęśliwy ze swojego powodzenia zapytał:

— A cóż? jakoś dzisiaj wróżby twoje nie sprawdziły się, kościół był pełny, i o ile sądzić mogę, moja gra podobała się dosyć.

— Nie przeczę, odpowiedział tamten, Pan Bóg jest samo miłosierdzie, toż on wszystko przyjmie, ale te łotry co płacą, wygwizdaliby cię pewno za takie granie.

Wracając do obchodów grobowych, wyznajemy szczerze, że na nas największe czyni wrażenie uroczysta cisza rozlana po świątyniach pańskich, a przerywana tylko cichym szeptem modlitwy, lub dźwiękiem pieniądza kwestarek uderzającego o tacę i wzywających do składania jałmużny. Jedynie głos do Boga i prożba za ubogim, mogą się łączyć z uroczystą takich chwil harmonią. Nawet to ciągłe brząkanie pieniążka przyzywającego miłosierdzie, dziwném nieraz w sercu naszém odzywa się echem. Jest to jakby przypomnienie o życiu tego, który najwięcéj ubogich ukochał, nimi się otoczył, i między nimi najserdeczniejszych swoich wybierał uczniów. I jak ze śmierci jego wzrosło nowe życie dla biédnych i upośledzonych, tak pamiątka téj śmierci, tego poświęcenia, jest chwilą, w któréj jałmużna najobfitsze zbiera zasoby. Więc bogate i możne tego świata panie, zapatrując się na wzór Boskiego mistrza, niosą trud i poświęcenie dla uboższéj braci.

Obfite w dniu wczorajszym widzieliśmy na tacach zbiory pieniężne, chociaż o cyfrze zebranéj przez każdą z dam z osobna nie mamy dotąd szczegółowéj wiadomości. Dopiero dziś wieczorem znany będzie ostateczny rezultat. Jakikolwiek powód zgromadza na tacę kwestarek to złoto i liczne assygnaty, czy tam gra rolę miłość własna, czy stosunki światowe, czy wdzięczność za dobre przyjęcie, czyli téż inne silniejsze jeszcze może uczucie, zawsze skutek usprawiedliwia przyczynę. To pewna, że umiejętne użycie tych wszystkich światowych pobudek i sprowadzenie ich na dobry uczynek stanowi zawsze niemałą zasługę. Zanotować jednak musimy koncept jakiegoś niewczesnego dowcipnisia, który pozmieniawszy parę złotych na różnego rodzaju nowo wybite groszaki, chodził z miną pompatyczną rzucając je po jednemu na tacę. Najdrobniejsza nawet jałmużna stanowi zasługę wedle możności tego który ją udziela, ale tu nie chodziło tyle o jałmużnę, ile o odznaczenie się jakiémś lekceważeniem kwesty. Dobrzeby zrobił ten jegomość, żeby wymyślił sobie jaką oryginalność innego rodzaju.

W dawniejszych czasach, kiedy każda uroczystość religijna z większą aniżeli dziś pompą się odbywała, więcéj także dbano o przystrojenie grobów podczas obchodzenia ich. Starzy ludzie pamiętają okazały grób, urządzony corocznie pod kościołem św. Jerzego, dziś przemienionym na fabrykę machin. Niemało tam było kwiatów i krzewów wszelkiego rodzaju, nie zbywało téż na dekoracyach, fontannach i innych podobnych okazałościach, a u samego grobu dwaj rycerze z całym przyborem starożytnego uzbrojenia, trzymali straż podczas téj uroczystości. Dziś kwiaty papierowe a rycerze z tektury, w niektórych nawet kościołach obchodzą się zgoła i bez tych wszystkich dodatków, zawsze jednak tenże sam tłum ludu obchodzącego świątynie, dowodzi że gorąca wiara nie wygasła w sercu narodu. A wiara uzdrawia, mówi pismo święte.

Trzeba jednak przejść nam do nowin bieżących, boć i wielki tydzień bez nich się nie obszedł. Jakeśmy to już zapowiadali, teatr wszystkie swoje nowości zachował na czas poświętny, mieliśmy tylko tu kilka kolejnych wystąpień p. Linkowskiego, który usprawiedliwił niemi pochwały jakie mu oddawały korrespondencye i sprawozdania ze sceny krakowskiéj. Rzadki to fakt i można go prawie uważać za wyjątkowy, bo zwykle publiczność warszawska różni się w zdaniu swojém od publiczności, uczęszczającéj na inne polskie teatra, i mieliśmy już tego niemało dowodów. Niejeden rozsławiony gdzieindziéj artysta, niejedna artystka, okrywana pochwałami i nazywa-

na ozdobą sceny polskiéj, występując na naszéj scenie, zupełnie różne od spodziewanego wrażenie budzili. Zdaje się to nawet przyjętą ogólnie zasadą, że ludzie mający zkądinąd pełne prawo sądzenia o sztuce, wychwalają znakomitości swojego kątka, patrząc na nie przez powiększające szkło, i z największą szkodą tychże znakomitości, jeżeli na wiarę słów przyjaznych prowincyonalnych recenzentów, przyjdzie im chętka popisywania się u nas. Ale to wszystko nie tyczy się wcale p. Linkowskiego, utalentowany to, sumienny i wytrawny artysta, i we właściwych sobie rolach charakterystycznych, potrafi on wszędzie jedno z piérwszych miejsc zająć.

Należy on do nielicznych uczniów téj dawnéj szkoły prowincyonalnéj, któréj teatr nasz winien takich artystów, jak pp. Królikowski i Rychter. Pamiętamy p. Linkowskiego z przedstawień jeszcze w krakowskim teatrze, gdzie podówczas on prawie sam jeden został z dawnych świetnych zabytków sceny tamtejszéj. Z przyjemnością dziś widzimy w nim ślady ciągłéj pracy nad sobą, bo postęp w sztuce jest koniecznym dla artysty, który nie chce się cofać. Tutaj spoczynek niebezpieczniejszym jest niż gdziebądź indziéj.

Przybyło już do Warszawy wydane w Krakowie litograficzne album, zawierające niektóre piękniejsze dzieła z wystawy obrazów krakowskiéj. Tekst Lucyana Siemieńskiego; wybór dobry, rysunek i odbicie staranne. Malarze warszawscy niepoślednie tam zajmują miejsce.

Gierdziejewski wrócił już z Rzymu, Święcki wyjechał, a Szermentowski wkrótce podobno po świętach wyjeżdża za granicę. Na wystawie ruch większy po nowym roku, teraz znów trochę ustał, i nie dziwić się, bo pora nie po temu.

Pan Łepkowski ukończył już podobno swoje prace nad Długoszem, wydawnictwo więc tego dzieła pomnikowego wkrótce będzie się mogło rozpocząć, jakkolwiek liczba zapisanych już prenumeratorów nie doszła jeszcze ani do połowy cyfry potrzebnéj na pokrycie kosztów. Nadzieja przecież w Bogu, że chociaż powoli, zbierze się ona jednak. Kilkakrotnie mieliśmy się już sposobność przekonać, jak chętny publiczność nasza bierze udział w użytecznych przedsięwzięciach.

Również pocieszającym jest bardzo faktem ciągłe powiększanie się liczby prenumeratorów pism peryodycznych u nas. W przeszłym kwartale dwie tylko gazety Codzienna i Warszawska liczyły ich przeszło 10,000. Trzy albo cztéry lat temu, czytelnicy wszystkich pism peryodycznych razem zaledwie dochodzili do téj cyfry. Słyszeliśmy także o zamierzonéj nowéj publikacyi czysto ludowéj, pod kierownictwem pisarza, który na tém polu znakomite już położył zasługi.

W dalszym ciągu rozwinięcia myśli o ulepszeniach mających się zaprowadzić w teatrzyku Towarzystwa dobroczynności, słyszeliśmy że towarzystwo ma zamiar utworzyć osobny komitet teatralny, który wyłącznie tylko nowemi przedstawieniami trudnić się będzie. Upewniano nas że jeden z najbardziéj czynnych członków Towarzystwa przyrzekł uprosić p. Chęcińskiego o napisanie nowéj sztuczki przeznaczonéj dla teatru amatorskiego; p. Moniuszko przyrzekł także swój współudział, również jak i p. Kraszewski. Ręczyć prawie można że przy dogodnych warunkach jakie teatrzyk Rozmaitości dla autorów ma oznaczyć, nie zbraknie mu na utworach oryginalnych, a te jedynie zdolne są zapewnić mu stałe powodzenie. Jest także projekt dawania w pięknéj porze roku przedstawień pod gołém niebem, wybrano podobno już nawet na ten cel stosowne miejsce, o czém w swoim czasie doniesiemy.

Ci którzy, jak to mówią, zaglądają gdzie się z komina kurzy, mieliby sporą pracę w ubiegłym tygodniu, kurzyło się bowiem w Warszawie ze wszystkich kominów, gospodynie pracowały w pocie czoła nad pieczywem świątecznem, co jak wiadomo nie lada jest sprawą i bardzo ważne w hierarchii porządków domowych zajmuje miejsce. Może te baby, placki, mazurki, to jedyna już prawie pozostałość z dawnéj gospodarności pań naszych, które dawniéj własnemi rękami lubiły przysposabiać mężom najsmakowitsze przyprawy. Dziś wszystko poszło na służbowe i kuchenne wyręczenie, o porządkach gospodarskich służący wyłącznie pamiętać muszą, a panie salonowym oddane zajęciom, raz tylko w rok około wielkiej nocy, kiedy nadszedł czas pokuty i spowiedzi za grzechy, odważają się zajrzéć do kuchni i zobaczyć co się tam dzieje. Niech nikt nas nie obwinia o zbytnie przechwalenie dawnych czasów, znamy dobrze ich wady i niedogodności, nie taimy przed sobą że przodkowie nasi w wielu względach zawinili względem siebie i względem społeczeństwa, jak nie pragnęlibyśmy również, żeby spółeczeństwo dzisiejsze urządziło się zupełnie na tę dawniejszą modę, bo to byłoby niepodobném, bo tam gdzie wieki naznaczyły ślady swojego przejścia, trudno już pewną nogą w tę samą koléj stąpić, gdzie dawni stąpali, za ciasną lub za obszerną okaże się ona nam; ale w życiu naszych przodków uderzało nas przedewszystkiem owo poszanowanie dla domu i dla wszystkiego co się z życiem domowém łączy, które było najpiękniejszą cechą mieszkańców naszego kraju. Z tego to źródła wypływała owa patryarchalna że tak rzekę powaga praw naszych i obyczajów. Dziś zcudzoziemczeliśmy pod tym względem, wątpię żeby to lepiéj było, każdy naród bowiem najszczęśliwszy, kiedy sam z siebie, z własnych rodzinnych żywiołów czerpie źródła poprawy i przekształcenia się.

Na list wyświecający nam niektóre bliższe szczegóły co do porwania panny, o którém przed kilku tygodniami donosiliśmy, odpowiadamy, że ta sprawa przebrzmiała już wraz z karnawałem, nie ma więc powodu zatrudniać uwagi publicznéj faktem, który wrócił w czysto prywatną sferę. Innemu korrespondentowi, donoszącemu nam o intrydze miłosnéj tak tragicznie przerwanéj wyłamaniem szafy i potłuczeniem wazonu porcelanowego:

Przypominamy ową prawdę nieochybną,
Nie wkładaj palca we drzwi, bo ci go przyskrzybną.

A zresztą przez wzgląd na epokę, w któréj się ten wypadek miał stać, pragnęlibyśmy nie wierzyć tym wszystkim szczegółom i kłaść je na rachunek zwykłych prymaprylisowych wymysłów, bo list szanownego korrespondenta doszedł rąk naszych jak raz w dzień piérwszego kwietnia.

TRENY ŻAŁOBNE

STOLIKÓW OD KART,

Z POWODU

WPROWADZENIA PUBLICZNYCH ODCZYTÓW

DO WIELKIÉJ SALI RESURSY KUPIECKIÉJ.

STOLIK I.

Słuchajcie srogich jęków rospaczy,
Otwórzcie uszy na smutku głos!
Chyba na starość żywot tułaczy
Każe nam srogi rozpocząć los.
Biédne stoliki osierocone,
W ostatniéj próbie zbraknie wam sił,
Zlewajcie łzami sukno zielone,
Co dotąd krédy pokrywał pył!

CHÓR.

W około ciemnie,
W powietrzu mgła;
Krew krzepnie we mnie
I serce drga.
Jakież niedole
Grożą nam znów?
Karciany stole,
Przez Boga, mów!

STOLIK II.

Wszak to nam w mieście przyzna człek wszelki,
Że uzbrojeni w wytrwania hart,
Lat kilkadziesiąt w resursie wielkiéj
Przesławne berło trzymamy kart.
Nie są to próżne nasze przechwałki,
Świadczy obfity karciany plon,
Tutaj obrały stolicę pałki,
I tu preferans dzierżył swój tron.

CHÓR.

I któż zaprzeczy
Prawdzie tych słów?
Ale do rzeczy,
Mów stole, mów!

STOLIK I.

Tutaj szermierze krzepcy i dzielni
Z innych się wszystkich zbiérali sal,
I pustki były zawsze w czytelni,
Osierocony był każdy bal.
Choć z usilnością komitet całą
Chciał wzbudzić przeszłość tanecznych miar,
Ledwie par kilka tam tańcowało,
A my tu setki liczyli par.

CHÓR.

W zimę czy w lato,
Tu zabaw treść.
Cześćże wam za to
O stoły, cześć!

STOLIK II.

Chociaż mistycyzm ku swéj zabawie
Ogólny mebli pociągał chór,
Choć się kręciły stoły w Warszawie,
My pod kartami stały jak mur.
Wszystkie przesławne proroctwa owe
Nie mogły echa rozbudzić w nas,
Gdy tu co rzekły nogi stołowe,
To tylko: *biorę talon* lub *pas!*

CHÓR.

Plemię dzisiejsze
Ogłupił Bóg.
Wy najmądrzejsze
Z stołowych nóg.

STOLIK I.

Wszystkie publiczne mary zwodnicze
Próżno w nas biły, jak w ścianę groch,
I towarzystwo nawet rolnicze
Otrząsło przy nas z nóg swoich proch.
Teraz już w własnym lokalu siedzi,
Swobodne miejsce oddawszy nam.
Tu nie potrzeba pustéj gawiedzi,
Co nie odróżni królów od dam.

CHÓR.

Na jedno światu,
Iść wprzód czy wstecz.
Dziesięć bez atu,
Ot to mi rzecz!

STOLIK II.

Zakład muzyczny chciał od nas sali,
By sobie fundusz zarobić tam,
Ale napróżno symfonje grali,
Nasza gra lepiéj służyła nam.
Widząc że zysku mają niewiele,
Już zaniechali daremnych prac,
Dziś sobie w cyrku zawodzą trele,
A my napowrót dzierżymy plac.

CHÓR.

Co spokój zmąca
Niedługo trwa.
Wist gra milcząca,
A piękna gra!

STOLIK I.

Lecz na nas losy wciąż sprzysiężone,
Nowe zwaliły klęski w nasz próg,
Jakieś odczyty bardzo uczone
Wprowadził tutaj komitet wróg.
Znów zawitali słowni szermierze,
Cierpliwość naszę biorąc na sztych,
Uczą nas zkąd się powietrze bierze,.....
Niechaj powietrze ogarnie ich!

CHÓR.

Kto zręcznie szuka
Gdzie król, gdzie as,
Taka nauka
Nie pójdzie w las.

STOLIK II.

Ach mówcie, mówcie, wskażcie nam sposób,
By święty spokój raz chociaż miéć;
Coraz tu więcéj przywodzą osób,
Nawet już żeńską ściągnęli płeć.
W gęste się chmury przyszłość zacienia,
Już nas uwikłał w swe sidła czart.
Gotowi wziąć nas na doświadczenia....
Ratujcie biédne stoły od kart!

CHÓR.

W około ciemnie,
W powietrzu mgła,
Krew krzepnie we mnie
I serce drga.
Klęski i bóle
Opadły nas.
Karciany stole,
Zginiemy wraz!

Wacław Szymanomski.

KOŚCIÓŁ PARAFIALNY W STOBNICY.

Miasto powiatowe Stobnica w gubernii radomskiéj, należy do bardzo starożytnych grodów królestwa, gdyż początkiem swoim sięga czasów Bolesława Wstydliwego. Kaźmirz Wielki obwarował je, zamek tutejszy potężnemi murami ubezpieczył, miastu zaś nadał prawo niemieckie, zwane szredzkim przywilejem lokacyjnym, w r. 1360. Tu w piérwszéj połowie XV wieku urodził się znakomity professor filozofii akademii krakowskiéj, zwany Janem ze Stobnicy, autor wielu dzieł w rozmaitych przedmiotach. Zresztą w następnych wiekach, przechodząc koleje podobne innym miastom, zniszczone przez wojny szwedzkie i niedbałość starostów, którzy w zamku tutejszym zamieszkiwali, zaledwo w naszych czasach nieco z upadku dźwigać się poczęło. Dziś Stobnica, po większéj części od starozakonnych zamieszkała, ma domów murowanych 43, drewnianych 104, liczy zaś ludności w ogóle 2263, pomiędzy któremi chrześcian 759 a żydów 1504.

Tuż przy mieście na równinie jest staw wielki, z jednéj strony którego wznosi się dawny zamek, teraz na pałac zamieniony i zamieszkany; w drugiéj zaś stoi na najwyższém miejscu niewielki, ale dziwnie pięknych wymiarów kościół parafialny w stylu gotyckim. Założył go Kaźmirz Wielki już w końcu panowania swego i bogatemi sprzętami ozdobił. Świątynia ta wraz z miastem rozmaite przetrwała wypadki, zewnętrzne jednak mury w piérwotnym dochowały się stanie. O ile pod grubym tynkiem rozeznać można, stawianą jest z kamienia wapiennego, płasko ciosanego; część kapłańska niższa jest od nawy. Z prawéj strony kościoła znajduje się kaplica, z lewéj zakrystya i babiniec, zakończona zaś jest trzema ścianami. Przy złamaniu murów szkarpy, a pomiędzy niemi ogrojec kopułkowatym dachem przykryty, na cztérech podparty kolumnach. Ogrojec ten zdaje się być dziełem XVI wieku. Szkarpy przy zakrystyi zakończone są klinowato, a cały gmach od téj strony, tak jak na powyższym drzeworycie z rysunku na miejscu zdjętego podajemy, nader jest gustowny, i za wzór prawdziwie gotyckich wymiarów może posłużyć. Wewnątrz sklepienie nawy związane jest na dwa filary w pośrodku wzdłuż ustawione; w miejscach gdzie się wychodzące z nich łuki z sobą przecinają, umieszczone są herby królewskie, t. j. orzeł i głowa wołowa. Łuki sklepienia nad częścią kapłańską zbiegają bezpośrednio na ściany i zakończone są zwykłemi gotyckiemu stylowi gronami. Zupełnie nieodpowiednie téj pięknéj budowie pod względem sztuki, są wszystkie tutejsze ołtarze, pochodzą one wyraźnie z późniejszych czasów, i najpewniéj kiedy się dawne spaliły, po wojnach szwedzkich były sprawione. Podobnież i dwa nagrobki rodziny Łętowskich które się tu znajdują, do nowszych a wcale nieszczególnych utworów rzeźby należą. Za to skarbiec kościelny posiada niepospolite zabytki starożytności; oprócz pięknéj monstrancyi gotyckiéj, jaką jednak i przy innych kościołach widzieć można, przechowane tu były dwie pamiątki z czasów założyciela kościoła, t. j. kielich złocony i relikwiarz świętéj Maryi Magdaleny. Na piérwszym wyrobione są w płaskorzeźbie sześć obrazków, przedstawiających wypadki z życia N. Panny i Zbawiciela; dno jego wycinane jest w okrągłe zęby i podwyższone galeryjką w same różyczki, misternie wyrobione, na nim dokoła napis scholastycznemi głoskami: *Calix Regis Casimiri*, to jest kielich króla Kaźmirza. W miejscu w którém się kielich ręką trzyma, znajdują się cztéry błękitno emaliowane, a sześcią łukami opasane zwyczajne tarcze, na środku których w polu czerwoném, już to orły, już głowy wołowe. Drugi, na nieszczęście, już nie znajduje się w swojém miejscu, i niewiadomo jakim sposobem przeniósł się do zbiorów po Tomaszu Zielińskim w Kielcach pozostałych.

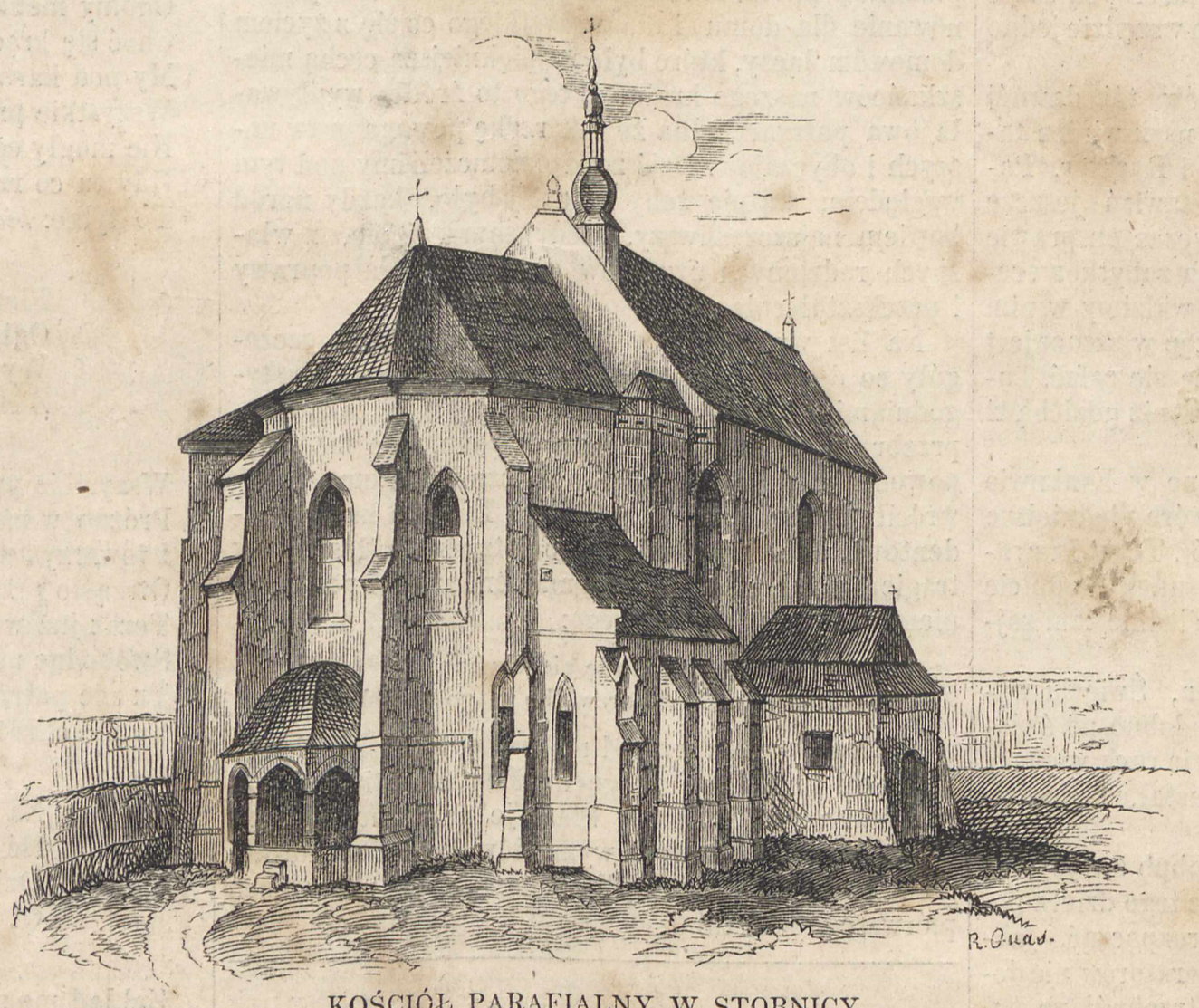

KOŚCIÓŁ PARAFIALNY W STOBNICY.

A tak szacowny zabytek starożytności, który przez trzy wieki przechowywał się w tym kościele, dostawszy się w ręce prywatne, może być teraz uronionym. Był to relikwiarz św. Maryi Magdaleny, kowany z blachy srébrnéj, wyobrażający prawie w naturalnéj wielkości popiersie niewiasty mającéj ubranie na głowie, na wzór zimowego czepca (capuchon) futrem podbite, nie kończy się wszelako na głowie jak nowoczesne, lecz spada na całą szyję i układa się w draperye. Pokrycie to było pozłacane; wyglądają z pod niego włosy przepaską przewiązane i loki na dół po obudwóch stronach twarzy wijące się. Sama twarz ściągła, czoło szerokie i wypukłe, nos kształtny, oczy wydatne i wielkie, usta na pół otwarte, broda spiczasta. Na wierzchu głowy widać dość znaczny otwór, który zdaje się był niegdyś przykryty. U spodu popiersia znajduje się orzeł, jak zwykle piastowski, w polu czerwoném emaliowaném, a począwszy od niego dokoła podstawy w obwódce podwójnéj, na tle w kratki rylcem wypukło rznięty, równemi gotyckiemi głoskami następny napis: *Cas. Rex Poloniae fecit caput istud in honorem Sanctæ Mariæ Magdalenæ* MCCCLXX, co znaczy po polsku: Kaźmirz król polski sprawił tę głowę na cześć św. Maryi Magdaleny 1370 r. Wyraz *fecit* w napisie tym użyty, dosłownie tłumaczyć można: że monarcha własnemi rękoma głowę tę wykonał, lecz w łacinie średniowiecznéj *facere* znaczyło także dać, darować, sprawić, i tak téż rozumiéć ów napis wypada. Trudno wprawdzie utrzymywać, aby ten osobliwszy relikwiarz pod względem sztuki był bardzo szczególném dziełem, ale dla badacza starożytności wielce jest ważnym, gdyż dokładnie daje widzieć sposób w jaki za czasów Kaźmirza Wielkiego kobiéty polskie głowę ubiérały, a przez to do odgadnienia epoki niejednéj beznapisowéj starożytności może posłużyć. Zawsze więc żałować należy, że ztąd został ruszony, doświadczenie bowiem przekonało, że dla tego rodzaju zabytków kościoły są najwłaściwszemi miejscami, gdyż tam tylko przez długie wieki bezpiecznie przechować się mogą.

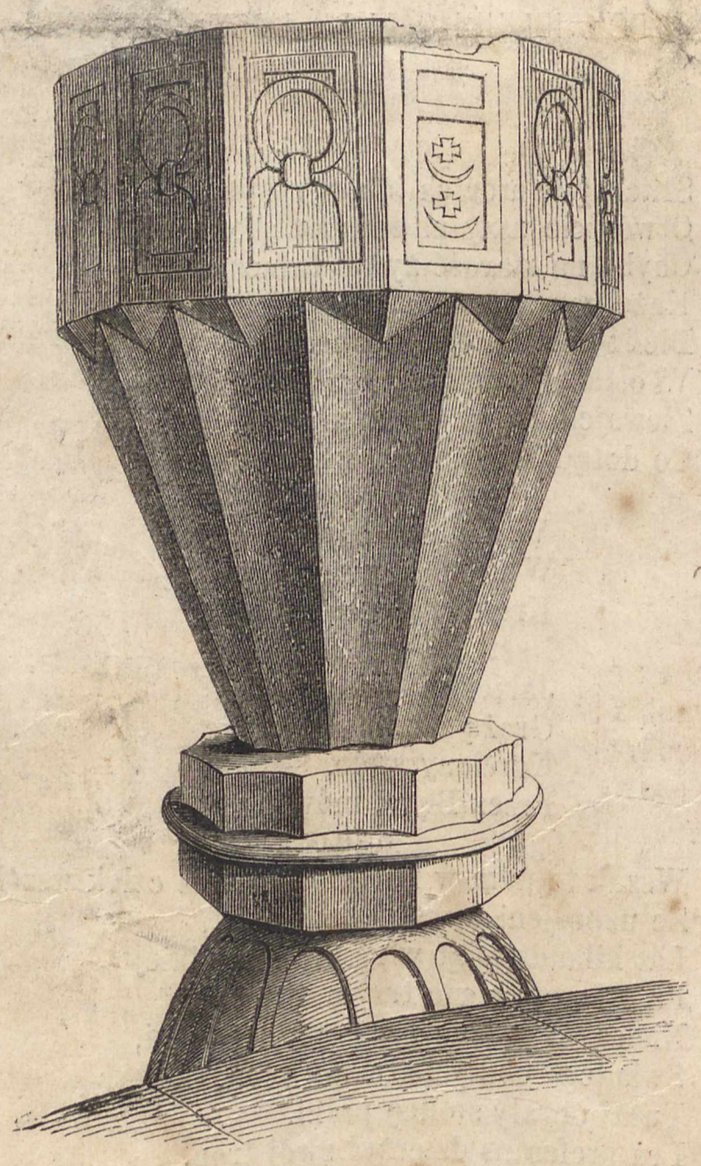

Kropielnica w kościele jeżowskim.

KROPIELNICA
W KOŚCIELE JEŻOWSKIM.

Na starém naszém Mazowszu, w ziemi rawskiéj, dziś w gubernii warszawskiéj w powiecie rawskim, leży małe miasteczko Jeżów. Piérwotnie była to własność książąt mazowieckich. Konrad I zaraz w piérwszych latach panowania swego, około r. 1210 darował je opatom benedyktynów w Lubieniu nad Wartą, i odtąd należało do nich aż do czasu supressyi, poczém przeszło na rzecz skarbu. Miasteczko to niczém w historyi się nie odznaczyło, zawsze ciche i ubogie jak dotąd, jest przecież jednym z ciekawych zakątków królestwa, nietylko pod względem starożytności swojéj, ale i pod względem pamiątek, jakie się tam z czasów najdawniejszych przechowały, a mianowicie szczyci się kościołem wielce starożytnym, którego założenie sławnemu Piotrowi Duninowi przypisują. W rzeczy saméj niektóre części kościoła jeżowskiego stawiane są z polowego w kostki obrobionego kamienia, co jest jedném z głównych znamion świątyń Duninowskich. W ogólności jest to budowla w stylu gotyckim, a choć nie wszystkie jéj części są jednoczesne, wszystkie przecież należną z sobą zachowują harmonią i jednorodną tworzą całość. Otóż w kościele tym, pomiędzy innemi pamiątkami, znajduje się kamienna kropielnica, któréj rysunek na załączonym drzeworycie przedstawiamy.

Zabytek ten pochodzi z XV wieku, kielichowéj postaci, czyli dwóch końcami stykających się ostrosłupów, u góry z ozdobami gotyckiemi o dwunastu ścianach, z których na jednéj umieszczony jest jakiś herb; niższa część kielicha ostrosłupowa, przyozdobiona dwunastu żłobkami; spodnia rozszerzająca się czyli stopa kielicha, ma na sobie wypukłą podobnąż ozdobę; część zaś środkowa oprócz żłobków ma jeszcze pierścień. Zresztą w ogóle jest kształtu dosyć upowszechnionego w XV wieku, zwłaszcza ku jego końcowi.

ŚWIĘTA WIELKANOCNE.
STAROPOLSKIE ŚWIĘCONE.

Kiedy kościół katolicki obchodził z uroczystością pamięć męki i zmartwychwstania Chrystusa Pana, gdy po świątyniach obnażone z ozdób stoją ołtarze, a od Wielkiego czwartku umilkły organy i dzwony, w całéj Polsce ruch niezwykły obudzał się zarówno w ludności miejskiéj, jak po wsiach i dworach szlachty.

W XVI, XVII i na początkach XVIII wieku, przygotowywano się wcześnie do misteryów, czyli dyalogów pobożnych, mających na celu przypomnienie męki Pańskiej i radosnego a zbawiennego zmartwychwstania. Żaki szkolne, przy pomocy młodzieży miejskiéj czy wiejskiéj, wybrawszy na to jak dawniéj kościół,

później plebanię lub domostwo oddzielne, robiły przybory do tych widowisk, które zwykle zaczynały się w Wielki czwartek, a kończyły w kilka tygodni po świętach wielkanocnych, z przerwami w czasie nabożeństwa kościelnego.

Płakał lud pełen prostoty pobożnéj, patrząc na matce i apostołom, a przekonawszy ich o swojém zmartwychwstaniu, wstępuje w niebiosa.

Gdy te misterya zbiérały gromady ciekawych widzów, gospodynie polskie przez ciąg całego tygodnia zajmowały się przyrządzaniem święconego, a głównie pieczeniem ciast uprzywilejowanych na te święta, jak i sobotę. W ten dzień ostatni, przy zmroku wieczornym, pod kościołami następował obrzęd religijny święcenia ognia. Na dany znak, gaszono świece i lampy; poczém kapłan, przy skrzesanym z krzemienia ogniu i poświęceniu go, zapalał je napowrót.

Nadchodzi wreszcie wielka, uroczysta chwila re-

STAROPOLSKIE ŚWIĘCONE.

(Skomponował i rysował Polkowski, rytował Styfi w Warszawie.)

żywe obrazy cierpień i męki Zbawiciela, oblewał gorącemi łzami boleści wraz z Najświętszą Matką Boską, śmierć niewinną i grób jego; wybuchał radosnym okrzykiem, gdy ujrzał z martwychpowstającego, ze zwycięzką chorągwią w ręku, jak otwiera nią wrota piekielne, jak w ostatku ukazuje się swéj

babek, placków i mazurków. Pracę ich uwieczniło dawne przysłowie, na określenie trudów i zajęcia wielkiego: „*Miéć więcéj roboty, niż piece na Wielkanoc.*“

Tymczasem po kościołach przystrajano *groby*, które pobożni tłumnie zwidzali przez Wielki piątek

zurrekcyi na pamiątkę zmartwychwstania Pańskiego. Gdy kapłan wychodzi od grobu Chrystusa Pana i niesie Przenajświętszy Sakrament, wszystko uderza kornie czołem, a następnie w uroczystéj processyi obchodzi trzykrotnie kościół, przy wtórze pieśni nabożnych o Zmartwychwstaniu. W czasie tego obchodu

niesiony jest krzyż stułą czerwoną przepasany i figura Chrystusa zmartwychwstałego z chorągiewką w ręku, jako godłem zwycięztwa nad śmiercią. Wtedy to równocześnie na oznakę radości, skoro tylko pieśń wesoła *Alleluja* rozległa się w kościele, brzmiały wystrzały z armat, moździerzy lub ręcznéj broni, które wstrząsały sklepieniem i ścianami świątyni (*).

Pobożni Polacy większą część nocy przepędzali w kościele na modlitwie, lub wracali o północy, napiwszy się tylko za cały pokarm wody dnia tego poświęconéj, ażeby po krótkim spoczynku, po twardym i ściśle zachowywanym poście, wysłuchawszy nabożeństwa porannego, zasiąść do suto zastawionych stołów ze święconem.

Tu na czele zajmował miejsce baranek pieczony z chorągiewką, jako godłem religijném świąt obecnych. Obok niego napełniały stoły babki pieczone, placki i mazurki, między któremi odznaczały się przyprawne szafranem, owym ulubionym specyałem dawnéj kuchni polskiéj; stérczały stosy jaj na twardo gotowanych, kiełbas wędzonych i gotowanych, szynek z dzików i swojskich, prosiąt pieczonych i domowego ptastwa.

Wielkie knieje dostarczały obficie grubéj zwierzyny, bo ziemianie-myśliwcy, (a któż w owe czasy łowcem nie był?) od świtu do nocy, upędzali się w ogromnych borach i puszczach za dziczyzną. Ztąd też stoły w ubożuchnym nawet dworku uginały się od pieczeni łosi, sarn i szynek z dzika. Łby ich z białemi kłami, tak strasznemi w kniei dla każdego myśliwca, że wolał zapasy z niedźwiedziem, niż z dzikim wieprzem, wedle starego przysłowia: „*Kiedy idziesz na niedźwiedzia, gotuj łóżko, a gdy na dzika, mary*,“ były ozdobą w pośród święconego. Ciasto i wszelkie mięsiwo, przystrajano jak i dotąd w zielone gałązki bukszpanu. W Wielką sobotę przed rezurrekcyą, lub w piątek nawet, plebani poświęcali zastawione stoły.

Panowie polscy przesadzali się w wystawném święconem; ale na całą Polskę i Litwę najsławniejszém było za panowania króla Władysława IV święcone wojewody wileńskiego Sapiehy, na które zjechało się mnóstwo zaproszonych gości z Litwy i Korony. Na samym środku ogromnych stołów był baranek wyobrażający *Agnus Dei* z chorągiewką, z samych marcypanów i cukrów, który rozdawano tylko damom, senatorom, dygnitarzom i duchownym. Stało cztérech ogromnych dzików, to jest tyle, ile pór roku. Każdy dzik miał w sobie szynki, prosięta, kiełbasy. Kuchmistrz nadworny wojewody, pokazał cudowną sztukę w upieczeniu całkowitém tych odyńców. Dwanaście jeleni, całkowicie także pieczonych, przedstawiało dwanaście miesięcy. Wewnątrz nadziane były rozmaitą zwierzyną, zającami, cietrzewiami, dropiami, pardwami i kuropatwami, a rogi ich całe złocone ozdobnie; naokoło stołu, tyle ile tygodni w roku, 52 ogromnych placków, przeplecionych jeszcze mazurkami i żmudzkiemi pirogami lub wysadzanych bakaliami. Za niemi 365 babek, to jest tyle ile dni w roku. Ogromne te babki, na hojném oblukrowaniu, nosiły rozmaite napisy, a zebrani goście ochotnie czytali na nich to wierszyki dowcipne, to zdania i przysłowia. Niejeden ze skromniejszym apetytem więcéj czytał niż zajadał.

Z napojów stały cztéry puhary staroświeckie srébrne, napełnione winem z czasów jeszcze Batorego, jako cztéry pory roku; obok dwanaście konewek srébrnych, jako dwanaście miesięcy, z winem po królu Zygmuncie III; daléj 52 baryłek srébrnych, jako godła 52 tygodni, z winem cypryjskiém, hiszpańskiém i włoskiém; przy nich 365 gąsiorków z winem węgierskiém, ile dni w roku; wreszcie dla czeladzi dworskiéj 8760 kwart miodu syconego w Berezie, to jest tyle ile godzin w roku.

Goście sproszeni ucztowali cały tydzień; po nabożeństwie poranném obsiadali stoły, a częstowanie z małemi przerwami trwało do północy, bo nadworna kapela wojewody brzmiała ciągle ochoczo, młodzież wywijała dzielnie, starszyzna zaś w zajmującéj gawędzie, przy gąsiorkach węgrzyna przypominała świetne czasy Batorego, lub pełne zawichrzeń i wojen Zygmunta III. W czerstwém jeszcze zdrowiu żyli towarzysze z pod buławy Jana Zamojskiego, Chodkiewicza, Żółkiewskiego i Lubomirskiego. Większa część żebranych miała udział w sławnéj wyprawie *chocimskiéj*, kiedy Polska sama własną piersią zastawiła Europę od najazdu bisurmanów. Niejeden miał się czém pochlubić, bo nosił ciężkie blizny, odniesione w krwawych walkach z Turczynem.

Rozgłos tego święconego poszedł po całéj ziemi rzeczypospolitéj, dyaryusze domowe i *silva rerum* zapisały je jako osobliwość niezwykłą, a przechowane długo w żywém słowie podania, bywało w pogawędkach szlachty celem podziwu i uwielbienia.

Na dowód jak wielkie było wtedy zebranie gości u Sapiehy, dość nadmienić że w ciągu tygodnia całe święcone spożyto i wypróżniono puhary, gąsiorki konewki i baryłki z winem.

We współczesnym rękopiśmie czytamy, że pan Jacek Jarzyna Mazur, dzielny wojownik i mający poważanie niemałe u wojewody Sapiehy, przybył zaproszony na to święcone z żoną. Po kilku dniach ochoty zasłabł, a doktór nadworny, Niemiec, zabronił mu wina. Jarzyna smutnie opuścił głowę i ciągle tęskne oczy zwracał na zapleśniałe gąsiorki węgrzyna. Wznoszono różne wiwaty, Mazur tylko wzdychał; ale gdy pić zaczęto zdrowie samego wojewody, i jemu przyniesiono puhar. Troskliwa małżonka posadziła go pod oknem sali, i dostrzegłszy że w gwarze nikt nań nie zwraca uwagi: „Jacusiu, rzekła, wyléj to wino, a nikt nie zobaczy.“ To było nad siły starego hussarza. „Moja dziéweczko, wina się takiego nie wyléwa, i zdrowia się takiego nie pomija. Zaklęli mnie jak węża, żebym wypił.“

— Przecież nikt nie widzi, mówiła z cicha żona.

— Ale pan Bóg widzi! rzekł uroczyście Jarzyna, a gromkim głosem zawoławszy:

„Zdrowie pana wojewody, a mego osobliwego dobrodzieja!“ spełnił do ostatniéj kropli i z choroby wyzdrowiał, orzeźwiał od razu, śmiejąc się z przepisanéj dyety Niemca.

Życie społeczne w dawnych czasach nie objawiało się w miastach, tylko, jako w narodzie rolniczym, po dworach szlachty, zamkach i pałacach panów polskich na wsi.

Miasta zwabiały szlachtę jedynie na sejmiki, sejmy lub jarmarki. Prawdziwy *karmazyn* miał sobie za hańbę opuszczać siedzibę i gniazdo rodzinne, aby na bruku miejskim zamieszkiwać.

Ze wszystkich świąt *Wielkanoc* obchodzono w całéj Polsce najuroczyściéj: bo w niéj łączyły się wielkie pamiątki chrześciaństwa, i była zarazem sposobność okazania wrodzonéj Polakom cnoty gościnności.

Całe rodziny zbiérały się w jedno grono, u najstarszych wiekiem i powagą. Krewniacy z odległych okolic, z żonami i dziećmi, wystawnie czy ubogo zajechali, jednakowego doznawali przyjęcia u gospodarstwa, które wcześnie dla każdego obmyśliło wygodny i spokojny zakątek. Obszerne dwory i oficyny pomieszczały wszystkich. Z dalszych stron nadjeżdżała rodzina na parę tygodni przed świętami: wtedy niewiasty pomagały gospodyni w urządzaniu święconego i zajęciach codziennych, a krewniacy towarzyszyli do kniei gospodarzowi i sami zajmowali się połowem ryb w stawach, jeziorach i rzekach, na dni wielkiego postu.

W wielki piątek zwykle całe męzkie grono trzymało się na ustroni, bo w dniu tym kończyło się pieczywo ciasta. Gdy się udało, radość z kółka niewieściego udzielała się wszystkim, gdy przeciwnie, smutek zasępiał każdego czoło. Ale przypadki te złego wypieku były bardzo rzadkie, przy troskliwości i staraniach zacnych naszych gospodyń.

Po ranném nabożeństwie zbierali się wszyscy w jeden wieniec. Wtedy gospodarstwo oboje, obchodząc gości swoich z kolei z pokrajaném jajkiem, częstowali każdego, winszując *wesołego alleluja* i życząc ażeby przez długie lata mogli sobie wzajemnie to samo powtarzać. Od téj chwili zaczynała się, rzec można, ciągła uczta; na obiad dawano tylko ciepłe zupy, reszty dopełniało święcone.

Nie mniejsza radość i gościnność i w skromnéj chacie włościan naszych bywa, chociaż przy nieporównanie skromniejszém święconem. Nie znają na stole kmiotka bab, ale za to placki, starodawne kołacze zdobią drewniane stoły, przy jajach, kiełbasach i prosiętach pieczonych, lub wieprzowinie. Dawniéj u każdego niemal kmiecia stał dzban miodu syconego doma z własnéj pasieki, nie brakło i wybornego piwa z gęstych a sławnych browarów, zanim je trująca wódka wygnała z progów wieśniaczych.

Drzeworyt który tu podajemy przedstawia sute *staropolskie święcone*, w zamożnym dworze; w górze unosi się postać Zbawiciela, z chorągwią w ręku występująca z grobu. Z prawéj strony widzimy uroczystą chwilę rezurrekcyi, gdy brzmi już wesołe *alleluja*, z lewéj, powrót w nocnéj porze kmiotków z kościoła do domu. Niżéj zacny ziemianin i dziedzic, nawidza chorą, ubogą wieśniaczkę i przynosi jéj święcone; z przeciwnéj zaś strony widać kmiotka wracającego do domu z koszem pełnym święconego, które nosił do kościoła dla poświęcenia; obok dary boże na stole, i wiązanki palmowe, i modnéj młodzieży tegoczesnéj powinszowania świąt. Tak mamy w tym rysunku zespolone i najważniejsze uroczystości wielkanocne, i połączenie braterskie szlachty z ludem, i owę wydatną różnicę między obrzędami naszych przodków a obecnemi.

Czas wszystko zmienia, wpłynął też przeważnie na zatracenie wielu zwyczajów zachowywanych tak w czasie wielkiego tygodnia jak i świąt samych. Pomiędzy innemi trwał długo obyczaj w całéj Polsce, że w wielki piątek śmiercią karano *Judasza*, co Chrystusa zaprzedał. Robiono bałwana na podobieństwo człowieka, przybiérano go w stare łachmany, kładziono mu w zanadrze worek z 30 kawałkami szkła, jakoby tyląż srebrnikami, a powtarzając imię Judasz! Judasz! klątwie wieków oddane, oprowadzano po drodze wioski, po ulicach miasta, wśród bicia i obelg; poczém palono go na stosie, albo też topiono (*). Zgasł piękny zwyczaj, który widomie nauczał, jaką jest podłością nikczemna zdrada, obrzydzając ją młodemu plemieniu!

W dwóch ostatnich wiekach zmieniła Polska wielce i swoję postać zewnętrzną. Puszcze i ogromne lasy padły pod siekierą przemysłowców zmarnowane, a z niemi i knieje z grubym zwierzem. Gdzie łosie, jelenie, sarny i dziki swobodnie bujały, dziś pustkowie, lub zrzadka rozrzucone sioła. Obszerne dwory modrzewiowe, świadki długoletnie życia praojców i serdecznéj ich gościnności, rozsypały się próchnem lub zgorzały w pożarach. Przy nich w gruzy poszły obronne zamki i wspaniałe pałace dawnych panów polskich. Wszystko jednak przetrwał zwyczaj pobożny obchodu świąt wielkanocnych i zastawy święconego, które, chociaż skromniejsze dziś niż dawniéj, bo zwierz gruby w ogóle stał się osobliwością, a bogate piwnice z beczkami wystałego węgrzyna do podań prawie należą, polskie gospodynie, wierne przekazowi swych matek, dochowują.

Kiedy wojownicy nasi w Hiszpanii walczyli za Napoleona I, pielęgnując rodzinny obyczaj, zastawili święcone, które im przypominało oddaloną ojczyznę. Niemało mieli trudności aby tameczni kapłani poświęcili przygotowane stoły, gdyż nie znajdowali po temu przepisanego w swoich książkach obrządku. Zaproszeni Hiszpanie, chętny wzięli udział w święconem u nich nieznaném, dziwiąc się i pobożności i gościnności Polaków.

Nie zaginęła i teraz w sercach polskich ziemian dawna cnota gościnności, i chociaż w mniejszych kółkach zbierają się rodziny razem, aby dnie téj uroczystości przepędzić społem, pomni na te piękne i znaczące naszego poety słowa:

„Życie w domowych ścianach się zamknęło,
Dziś się krew wszystka do rodziny zbiega
Niby do serca, zkąd się życie wzięło.
I z tego serca, ma się rozejść ciepło
Po wszystkiém ciele, gdy boleść przeminie,
I przy tym cichym, ojczystym kominie
Ma się znów ogrzać, co w życiu zakrzepło.“

K. Wł. W.

(*) Gdzie kwaterowało wojsko rzpltéj, ono wypełniało ten zwyczaj strzelania z dział i ręcznéj broni; gdzie go nie było, mieszkańcy różnych cechów, lub na wsiach parobcy ze strzelby rzęsiste dawali ognie. Że zaś, jako niewprawni, nie razem lecz po jednemu lub po kilku dawali ognia, powstało przysłowie pomiędzy myśliwemi, kiedy w kniei gęsto do zwierza strzelano: „*Strzelają jak na rezurrekcyą.*“

WIELKI CZWARTEK.

W dniu tym wielkiego tygodnia obiera się osobne w kościele zacienione miejsce, *ciemnicą* zwane, i tam po mszy świętéj przenosi się Najświętszy Sakrament. Ta ciemnica wyobraża więzienie Jezusa Chrystusa,

(*) Zwyczaj ten najdłużéj przetrwał w Warszawie. Gromadka dziatwy ludowéj takiego bałwana, po oprowadzeniu po ulicach miasta, wciągała na wieżę kościoła Panny Maryi, poczém go zrzucała na bruk, a w ostatku topiła w Wiśle.

gdzie po swém pojmaniu pod strażą był trzymany. Po skończoném nabożeństwie, celebrujący kapłan rozbiera z ozdób ołtarze i takowe obmywa, na pamiątkę że Zbawiciel, którego ołtarz wyobraża, dla naszego odkupienia wyzuł się ze wszelkich ozdób i godności, a zarazem znaczy to obnażenie Chrystusa z jego szat w czasie męki. Dlatego przy tym obrzędzie odmawia się psalm XXI, zawierający proroctwo o męce Zbawiciela, a zaczynający się od tych słów: „*Podzielili się odzieniem mojém.*“ Obmycie zaś ołtarzów oznacza, że Chrystus Pan przez swoję mękę i śmierć najsromotniejszą obmył dusze ludzkie z grzechu pierworodnego i ze wszystkich nieczystości, dla których przedtém Boskiego oblicza oglądać nie mogli.

Po mszy św. następuje obmywanie nóg, odbywające się dla uczczenia pokory Chrystusa Pana, który w tym dniu przyklękał przed apostołami i obmywał im nogi, a po skończeniu i powitaniu mówił do nich: „Wy mnie nazywacie swym mistrzem i słusznie czynicie, jestem bowiem nim prawdziwie. Jeśli więc ja, który jestem waszym panem i mistrzem, obmywałem wam nogi, to i wy obmywajcie je jedni drugim. Dałem wam bowiem przykład, abyście czynili to co ja uczyniłem.“ Chrystus Pan, mówiąc te słowa, nie rozumiał bynajmniéj, abyśmy koniecznie umywali nogi swym braciom, ale żebyśmy dla nich byli przejęci uczuciami pokory i poświęcenia, których obmycie było symbolem. Chęć jednak naśladowania Pana Jezusa skłaniała najwyższych pasterzy do odbywania tego obrzędu. Jakoż w Rzymie od wieków papież albo kardynał-dziekan obmywa nogi dwunastu sędziwym kapłanom i potém służy im do stołu; toż samo czynią po wszystkich kościołach rzymsko-katolickich biskupi i przełożeni zakonów. Naśladowali ich niegdyś także i monarchowie katoliccy. W Warszawie obrząd obmywania nóg w wielki czwartek w kościele św. Jana zaprowadzony został dopiéro na początku XVII stulecia za czasów Jana Wężyka biskupa poznańskiego, który także był niegdyś archidyakonem warszawskim. Dawniéj prymas a nawet i sam monarcha téj ceremonii dopełniał. Zygmunt III, jak pisze w swoich pamiętnikach Albrecht Radziwiłł, z wielką uroczystością co rok obmywał nogi 12 najstarszym ludziom w królestwie, którzy umyślnie na ten dzień do Warszawy byli sprowadzeni. Zwykle czynił to w kościele św. Jana, a niekiedy w kaplicy zamkowéj. Toż samo robili następni monarchowie polscy, a ostatni tego rodzaju obrzęd odbył się w r. 1793 w téjże kaplicy. Obecny temu Antoni Magier zostawił nam następny opis zwyczajów dworu w tym dniu zachowywanych. W wielki czwartek, pisze on, co rok bywał obchód kwesty na szpitale tutejsze w zamku w sali audiencyonalnéj, gdzie jedna z młodych dam z woreczkiem ozdobnie haftowanym począwszy od króla, zbierała pieniądze z kolei od osób obecnych w okrąg sali stojących. Poczém następowało w kaplicy obmywanie nóg starcom, którzy usadowieni na ławkach i mając rozzutą jednę nogę, tę pobożną od króla odbiérali usługę. Jeden z szambelanów polewał z srébrnéj nalewki wodą nogę każdego starca, król zaś podaną sobie serwetą tęż nogę przykrywał.

Następnie w sali kolumnowéj zasiadali przy nakrytym stole ciż starcy z siwemi brodami, w wieku najmniéj lat siedmdziesiąt. Byli oni ubrani w żupany karmazynowe, białym pasem przepasani i w białych płaszczach, w liczbie dwunastu, w towarzystwie podobnież sędziwego kapłana. Cześnika koronnego było obowiązkiem podawać królowi talerze, które on nakładał potrawami i zaproszonych starców traktował, zapytując się prawie każdego: „Jak się waćpan nazywasz? wiele masz lat?“ i t. p. Jeden z nich, nazwiskiem Zakrzewski, raz oświadczył, że podług metryki którą miał przy sobie, liczył lat 130, że był przy oblężeniu Wiednia za Jana III w r. 1683, i że tam otrzymał rany. Król przekonawszy się że tak było istotnie, dał mu natychmiast 50 dukatów. Zwykle ubodzy ci potrawy im dawane zabierali z sobą do domu, a nadto na wychodnem otrzymywali każdy woreczek z kilkoma dukatami.

W staropolskich dworach szlachty polskiéj, żyjącéj patryarchalnie w stosunkach ze swemi kmiotkami, długo zwyczaj obmywania nóg starcom utrzymywał się, bo aż do końca 18 wieku; za Stanisława Augusta przetrwał jeszcze. Wtedy gospodarz wcześnie zbierał gromadkę dwunastu starców, na pamiątkę dwunastu apostołów, najprzód ze wsi swoich, a do okrągłéj liczby z żebraków, i w dzień ten dopełniał nóg obmywania.

Nie zaginął dotąd ten piękny chrześciańskiéj pokory obyczaj. Dopełnił go w przeszły czwartek najdostojniejszy arcybiskup metropolita warszawski, ks. Antoni Melchior Fijałkowski, w téj saméj katedralnéj świątyni Warszawy, gdzie dawniéj królowie polscy obrząd ten, przekazany od Zbawiciela, spełniali. Najstarszym z sędziwych wyobrazicieli 12 apostołów był Walenty Dembiński, lat 78 liczący.

KRONIKA SZTUK PIĘKNYCH.

MUZYKA.

Wielka uroczystość muzyczna na korzyść Instytutu muzycznego — Korrespondencya z Paryża od Alberta Sowińskiego.

Tak świetnéj uroczystości muzycznéj, jaką była dana w dniu 28 marca na rzecz Instytutu, dawno już nie pamiętamy. Obszerne zabudowanie cyrku zaledwie pomieścić mogło tłumy zgromadzonéj na ten zajmujący wieczór publiczności, tak sympatycznie i gorliwie biorącéj udział w losach mającego się wkrótce wznieść zakładu. Około trzysta osób śpiéwających i grających należało do wykonania, a komu wiadomo ile zachodu, starań, ilu prób potrzeba było, zanim przystąpiono do koncertu, ten zapewne odda sprawiedliwość niezmordowanéj gorliwości i pracy tak samego komitetu, jako téż amatorów i artystów osobisty w nim udział biorących.

Myśl ułożenia programu z samych utworów krajowych, dobrze od ogółu przyjętą została. Instytut powstaje z funduszów przez cały naród dostarczanych, słusznie więc, że w ważniejszych swoich sprawach muzycznych w tymże samym celu podjętych, również miejscowemi środkami się obchodzi, — to jedna jeszcze więcéj zasługa. W niéj zarazem jest rękojmia przyszłéj nadziei zakładu; bo kiedy od lat trzydziestu pozbawieni ogniska artystyczno-naukowego, możemy jednak zdobyć się na dzieła chlubnie świadczące o zdolnościach naszych w sztuce muzycznéj, czegoż nie wolno nam się spodziewać z czasem od przyszłego pokolenia, mającego się już kształcić w tym naukowym zakładzie, jeżeli tylko trafnym i stosownym wyborem nauczycieli władza Instytutu otoczyć się zdoła?

Niepodobna nam o wszystkich ustępach na téj uroczystości wykonanych szczegółowo wspominać, chociaż o każdéj należałoby niemało powiedzieć, skoro takie imiona jak zacnéj pamięci Elsner, Chopin, Komorowski Ignacy, Stefani, Moniuszko, Lipiński, Nowakowski, Brzowski i Noch na nią się składały. Wybierzemy więc tylko te, które silniejsze i większe na ogóle słuchaczy uczyniły wrażenie.

Koncert rozpoczęty został fantazyą ułożoną na samę orkiestrę przez twórcę *Halki*, pod tytułem *Baśń zimowa*. Jest to dzieło oryginalne formą, a rozmaitością melodyjnych i instrumentalnych pomysłów niezmiernie zajmujące. Uczucie w niém zmienia się co chwila: raz jakby tęsknota za czémś nieokreśloném, jakby burza lub walka wewnętrznych, duchowych wzruszeń; to znów pieszczone tony niby z dawna gdzieś słyszanéj pieśni, kołyszą duszę słuchacza.... jedném słowem baśń ludowa, zamiast słowy, dźwiękami muzyki tam wypowiedziana. Ballada Mickiewicza *Czaty*, przez tegoż samego autora, wybornie przez p. Keller odśpiéwana, z zapałem była przyjętą i na powszechne żądanie powtórzoną. Cóż to za urocza instrumentacya téj ballady! Ów szmer skrzypców i altówek z surdynami, jak doskonale tłem swojém charakteryzuje miłosny szept dwojga kochanków i rozmowę wściekłego z gniewu i zazdrości wojewody z Kozakiem! Jednę tylko uwagę ośmielimy się tu kompozytorowi uczynić. W miejscu gdzie słowa: „Kozak zmierzył, wycelił, Nie czekając wystrzelił,“ czy nie możnaby w chwili gdy się orkiestra i śpiéw na chwilę zatrzymują, użyć tołombasu naśladującego wystrzał z rusznicy, a dopiéro potém dać wiérsz kończący balladę: „I ugodził w sam łeb wojewody!“ —? Według naszego zdania efekt muzykalny zyskałby przez to na mocy, na prawdzie i sile plastycznego wyrażenia, nie umniejszając w niczém artystycznéj, poważnéj zasługi dzieła.

Śpiew masek z Maryi Malczewskiego, znany już w orkiestrowéj instrumentacyi Minchejmera, kompopozycyi nieodżałowanego Ignacego Komorowskiego, również jak *Andante* i *Scherzo* z symfonii Brzowskiego, ustępy pełne rzeczywistego talentu, z niezwykłą uwagą były słuchane. Solowe numera powierzono: p. Kalergis, damie pełnéj zacności uczuć i chętnéj zawsze iść z pomocą w każdém szlachetném i piękném przedsięwzięciu, pani Reszkowéj, Cichorskiéj, panom Szczepkowskiemu, Janocie i Julianowi Nochowi, skrzypkowi wiele obiecującemu. W pośród imponujących mass chóralnych, użytych do wykonania zbiorowych ustępów, blado i słabo solowe mogłyby się wydawać, gdyby nie to, że prześliczne rondo Chopina na dwa fortepiany, odegrane było z precyzyą i wykończeniem nic niepozostawiającém do życzenia, a wyrobiony i piękny głos znakomitéj z talentu amatorki, w drobnéj nawet formie pieśni umié korzystnie się przedstawić. Chóry złożone z dwustu osób, starannie wyuczone, szły równo i dobrze; jedném słowem, cała ta pamiętna uroczystość najświetniejszym skutkiem uwieńczoną została. Teraz pozostaje nam tylko życzyć, ażeby następne dwie równąż pomyślnością pod każdym względem cieszyć się mogły, o czém nie godzi się powątpiewać, znając współczucie publiczności naszéj dla Instytutu i troskliwość z jaką postępuje komitet w wyborze dzieł na te koncerta przeznaczonych.

Wartoby jednakże pomyśléć o wykonaniu utworów tych mianowicie naszych rodaków, których prace nie są nam wcale prawie znane, a którzy przecie talentami swemi, pomiędzy obcemi nawet, zdobyli sobie zaszczytne w sferach sztuki muzycznéj imię i znaczenie. Do rzędu takich bez zaprzeczenia należy Albert Sowiński. Jak się z pisanego do nas w tych dniach listu dowiadujemy, komitet nie pominął go w odezwie uczynionéj do wszystkich naszych znakomitości artystycznych. Oto co pisze z Paryża p. Sowiński: „Na urzędowe wezwanie dziewięciu szanownych członków komitetu, które jako miłą pamiątkę zachowam, posłałem natychmiast partyturę *Oratoryum św. Wojciecha*, o nią bowiem głównie się upominali. Prawda że tylko trzy numera, to jest: aryą, trio i chór, ale dobre i to, zwłaszcza iż piérwszy raz w Warszawie usłyszą moję pracę. Oprócz tego oddałem do rozporządzenia komitetu *Symfonią*, *Uwerturę z Mazepy* i *Sąd Salomona*, motet na głosy solowe, chór i orkiestrę.“

Sowiński dnia 12 marca b. r. dawał w Paryżu koncert, o którym już pisma nasze w krótkości wspominały; otóż donosi, że jego kwintet na smyczkowe instrumenta napisany dobrze się powiódł, „nasze śpiéwy religijne w tłumaczeniu francuzkiém, na trzy głosy męzkie ułożone, słuchane były z ciekawością (*), *Boga rodzica* wielki efekt sprawiła, chociaż ją tylko dałem z towarzyszeniem organów. *O gospodzie uwielbiona* (O gloriosa Domina), tudzież śpiewy *o św. Floryanie i św. Stanisławie* podobały się bardzo.

Mamy tu z nowoprzybyłych artystów polskich: Dąbrowskiego, Józefa Wieniawskiego i Aleksandra Zarzyckiego, z dawniejszych: Stanisława Kątskiego, Wróblewskiego, Edwarda Wolfa, fortepianistów; Karola Kątskiego, Telesińskiego, Niedzielskiego, Lotta, skrzypków. Oprócz tych jest jeszcze wielu młodych, poczynających. Potrzeba wyznać że artystyczna Polska ma tutaj swoję niepoślednią reprezentacyą. Hrabia Ostroróg zatrudnia się wyrobem i sprzedażą *Melodinów*. Jest to rodzaj małych organków, z przyjemnym dosyć tonem, ale bez basu; do kościołów i muzyki religijnéj niestosowne, w salonie zaś mogą znaleźć pomieszczenie. Książę Poniatowski przedstawił w Wielkiéj operze swego *Pierre de Medici*; muzyka słaba, opera upadła bezpowrotnie.

Występowała tu z powodzeniem w *Romeo* Belliniego, śpiewaczka rodem z Poznańskiego, izraelitka, panna Westvali.“

(*) Wiadomo że Sowiński zebrał dawne pieśni nasze i wydał w roku zeszłym w Paryżu pod tytułem: „Anciens chants réligieux de l' Antiphonaire Polonais, harmonisés et arrangés pour 3 voix égales, par Albert Sowiński.“

HISTORYA JEDYNACZKI W 22 OBRAZKACH.

Ułożył i rysował F. Kostrzewski, rytowano w drzeworytni Tygodnika.

(Dalszy ciąg.)

Nr. 10.
Rodzice codziennie czekają z obiadem na jedynaczkę, która lubi przychodzić do stołu prosto z łóżka.

Nr. 11.
Panna Bibianna na balu w resursie przedstawia rodzicom swych znajomych.

Nr. 12.
Signor Palpiti piętnastoletniéj uczennicy wykłada z korzyścią teoryą śpiewu.

Nr. 13.
Zakochana w nim panna Bibianna, dostaje czarnéj melancholii, któréj ani lekarze, ani stroje sprowadzone przez papę z Paryża uleczyć nie mogą.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

SZACHY.

ZADANIE XXI

(*B. A. Win. w Warszawie*).

Białe zaczynają i dają mata za trzeciém posunięciem.

Czarne.

Białe.

Zadanie wieżowe.

wprost	Wśród	cie	Choć	nie	jes-	to	(ptak
twa	nie	gie,	dna	wiel-	wy-	Ża-	dłu-
cia	A-	Wspak	że	ni	trze-	Bo	trze-
piérw-	pić	wąt-	wprost	sza	wspo-	piérw	nie
Był	nie	tam,	ła,	kie	mnia-	go;	nie
dru-	da.	ła	go	mia-	pa-	g'e	cie-
da)	go	Czy	księ-	la-	też	sze	ga
mnós-	da-	trze-	wszy-	wspak	testw	za	stek

W zadaniu tém zgłoski i wyrazy następują po sobie według poruszeń jakie wieżą w grze szachowéj robić można

Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 27.

Na świecie nowina białogłowa dobra.

REBUS.

Rozwiązanie zadania szachowego Ner 20.

Białe.	*Czarne.*
1) D 5 — C 7 † . . .	1) E 8 — F 7
2) R 7 — D 8 bierze † .	2) F 7 — G 7
3) C 7 — E 8 † . . .	3) G 7 — H 6
4) D 8 — F 7 † i mat.	

(Dodatek.)

SPRAWOZDANIE

Z POSTĘPU NAUK PRZYRODZONYCH, PRZEMYSŁU I WYNALAZKÓW.

Nauka obecnie niezmiernie ważny uczyniła postęp w dwóch kierunkach na drodze ulepszeń w machinach parowych; oba nader korzystne, z powodu wielkiéj oszczędności w paliwie, które, czy pod postacią drzewa, czy węgla, jest jednym z głównych przedmiotów w sprawie lokomocyi, już to z powodu drożyzny drzewa i coraz bardziéj zagrażających klęsk z wytępiania lasów, już z przyczyny że węgle zajmują wiele miejsca i dodają ciężaru lokomotywie lub parowcowi.

Zmniejszenie koniecznéj ilości zapasu paliwa i wody; choćby tylko na parowcach, zmniejszy ilość przystanków, potrzebnych dla nabrania tych dwóch materyałów; powtóre, umniejszając ciężaru, przedstawi statkom możność zabierania większéj ilości korzystniejszego ładunku i odbywania bez przerwy dalszych podróży. Z innéj jeszcze strony dwa te nowe wynalazki przedstawiają wysoką ważność i interes dla nauki, w obu bowiem mamy nowe zupełnie własności fizyczne ciał, wprowadzone w ważne praktyczne zastosowanie.

Przed kilku laty świat naukowy żywo zajął się postrzeżeniami nad odkryciem nieznanego dotąd, a przynajmniéj naukowo nieroztrząsanego czwartego stanu fizycznego ciał, który piérwsi baczniejsi dostrzegacze nazwali stanem *sferoidalnym*. Dotąd, jak wiadomo, uważano w ciałach trzy stany: stały, ciekły, i lotny, i własności ich fizyka dokładnie starała się poznać. Wiadomo między innemi, że działanie ciepła przeprowadza ciała z stanu stałego w ciekły, topiąc naprzykład metale, gęste tłuszcze i t. p., i z ciekłego w lotny, zmieniając wodę i inne ciecze w pary i gazy. Wiadomo także, iż ciśnienie powietrzokręgu koniecznem jest do utrzymania ciał ciekłych w tym ich stanie, i że ciecze, przy usunięciu tego ciśnienia, naprzykład pod dzwonem machiny pneumatycznéj umieszczone, bez pomocy nawet ciepła przechodzą w stan lotny. Licznemi doświadczeniami docieczono, w jakim stopniu ciepła przy zwyczajném ciśnieniu atmosfery rozmaite ciała stałe przechodzą w stan ciekły i z ciekłego w lotny; wymierzono różnemi narzędziami, wiele stopni zwyczajnego termometru 80- albo 100-stopniowego potrzeba, aby topić ołów, cynę, żelazo i t. d., a nakoniec, jak wiadomo, stopień ciepła, w którym woda zmienia się w parę, obrano za stały punkt w oznaczeniu podziałki termometrów czyli ciepłomierzy i przyjęto w termometrze Réaumura, dotąd u nas zwykle używanym, 80, a w termometrze Celsiusa, przyjętym we Francyi, 100 stopni na oznaczenie ciepła w chwili wrzenia, czyli przechodzenia wody ze stanu ciekłego w lotny, a w obu tych termometrach *zero* podziałki oznacza punkt, w którym lód, to jest woda w stanie stałym, przechodzi w ciekły czyli topnieje.

Otóż przed stu laty uczony Leidenfrost zauważył, że woda w zetknięciu z żelazem do białości rozpaloném, a zatém daleko gorętszém niż stopień parowania jéj, nie wre i nie zamienia się w parę, tylko przybiera postać mniéj więcéj kulistą i tak pozostaje dopóty, póki metal nie ostygnie znacznie; wtenczas dopiéro w jednéj chwili następuje gwałtowne wrzenie i ulotnienie się wody. Postrzeżenie to, które każdy łatwo sprawdzić może, puszczając krople wody na mocno rozpaloną duszę od żelazka używanego do prasowania bielizny, długo pozostało faktem bez znaczenia, dopóki p. Boutigny, fizyk francuzki, nie zajął się niém ze stanowiska naukowego. Uczony ten swojemi doświadczeniami doszedł do wykrycia praw niezmiennych, według których rozmaite ciała zachowują się w tym czwartym, odmiennym od trzech innych, stanie fizycznym, i doświadczenia jego publicznie wykonywane obudzały przez długi czas podziw nawet uczonych. Między innemi wspomnimy tu o tém tylko, iż doszedłszy że temperatura cieczy w stanie sferoidalnym jest zawsze niższą od temperatury jéj wrzenia, a wiedząc że np. kwas siarkowy bezwodny wre w 10 stopniach zimna, — w tygiel platynowy rozpalony do białości, wpuszczał nieco takiego kwasu, który przechodząc w stan sferoidalny oziębiał się niżéj 10 stopni zimna, i wtedy wlana w ten tygiel woda, ostudzała się od zimna kwasu tak gwałtownie, że w naczyniu do białości rozpaloném zamieniała się natychmiast w bryłę lodu. Była to zadziwiająca zabawka fizyczna, ale aż dotąd nowoodkryty stan sferoidalny ciał pozostawał bez praktycznego zastosowania.

Dopiéro inny fizyk francuzki, p. Testud de Beauregard, wziął sobie za zadanie wyprowadzić z tych spostrzeżeń praktyczny użytek i w tym celu rozpoczął badania nad parą rozgrzaną do znacznie wyższego stopnia, czyli parą w stanie sferoidalnym. Po kilku latach pracy, oto ważny owoc poszukiwań tego uczonego.

W tygiel czy rynkę z żelaza lanego lub kutego, bardzo małych wymiarów, za pomocą regularnie działającéj pompki, po rozgrzaniu dna tego tygla na 1000 stopni lub więcéj, wpuszczają się małe ilości wody, która natychmiast zamienia się w parę (bo woda w stanie sferoidalnym utrzymuje się w zetknięciu z ciałem rozgrzaném do 200 lub 300 stopni, lecz w 1000 stopniach już nie ciecz, ale para przechodzi w stan sferoidalny). Przez długi czas p. Testud de Beauregard widział swoje usiłowania paraliżowane przez to, że nagłe pochłanianie cieplika tygla przez zmienianie się wody w parę tak silnie działało na dno i ściany tygla, pomimo znacznéj ich grubości, że naczynie to pękało po kilku wpuszczeniach wody. Można było zaradzić temu w sposób bardzo prosty, ale najprostsze środki zwykle najtrudniejszemi są do znalezienia; w końcu jednak udało się p. Testud de Beauregard trafić na myśl szczęśliwą. Pokrywszy wnętrze i powierzchnią tygla cyną i zanurzywszy go w większym tyglu napełnionym roztopioną cyną, pan T. de B. a priori wyrozumował, że szybkie pochłonienie cieplika płynnéj cyny, przez wodę przechodzącą w parę, działając tylko na zmianę postaci tego roztopionego metalu, nie będzie miało żadnego szkodliwego wpływu na ściany tygla, i doświadczenie stwierdziło najzupełniéj to rozumowanie. Od dwóch lat dwa tygle tak urządzone dostarczają niezmiernéj ilości pary do dwóch machin, jednéj o sile 4 koni systemu Giffard i Flaud, z ruchem niezmiernie szybkim, bo po 600 do 1000 poruszeń tłoka na minutę, drugiéj o sile 20 koni z ruchem powolnym systemu Kientzy. Para w stanie sferoidalnym wychodząc z cylindra, styka się z wodą, którą zamienia w parę i prężność téj ostatniéj przyłącza się do prężności piérwotnéj pary; nakoniec w kondensatorze dokończa się skroplenie pary.

Zalety tego nowego wynalazku są następujące: niezmierne zmniejszenie kotła do tworzenia pary, który tu jest niewielką rynką; najzupełniejsze niepodobieństwo pęknięcia; niezmierne zmniejszenie ilości używanéj wody; użycie téj wody w stanie destylowanym przez skroplenie w kondensatorze, a ztąd usunięcie tworzenia się skorupy wapiennéj i potrzeby uciążliwego oczyszczania ścian tygla; para zupełnie sucha, bez przymięszania wody; możność utrzymania temperatury według potrzeby od 200 do 1000 stopni; użycie pary martwéj, to jest wyszłéj z cylindra, do utworzenia nowéj siły poruszającéj; zgęszczenie czyli skroplenie najzupełniejsze, tworzące czczość, która do ciśnienia pary dodaje ciśnienie atmosferyczne; niesłychana regularność ruchu; możność podwojenia i potrojenia siły w chwili potrzeby, i bez żadnego niebezpieczeństwa; ognisko pochłaniające dym; ułatwienie służby palaczy i przeszło 60 na 100 oszczędności w paliwie. Nowy ten przyrząd, stanowiący może już ostatnie słowo w udoskonaleniu machin parowych, daje się z łatwością zastosować do wszystkich dotychczasowych machin, z małém bardzo przerobieniem ich budowy a niezmiernem zmniejszeniem miejsca na kocieł i ognisko.

Jednocześnie na innéj zupełnie drodze osiągnięty został równie zadziwiający w skutkach rezultat, a ten drugi wynalazek najszczególniéj interesuje nas tém, że elektryczność, od któréj tak dawno spodziewamy się stanowczéj posługi w nadaniu ruchu machinom, występuje, chociaż powolnie, w takim właśnie charakterze. Pan Lenoir, ten który przed kilką laty tak wysoko podniósł ważność galwanoplastyki przez odkrycie sposobu otrzymywania największych nawet wymiarów wypukłorzeźb, posągów i t. p. z jednéj sztuki, przez galwaniczne osadzanie miedzi z jéj solnych roztworów, dziś przysłużył się mechanice niezmiernie wiele obiecującym wynalazkiem użycia rozprężliwości gazu wodorodnego węglowego, zmięszanego z powietrzem w takim stosunku, żeby ta mięszanina detonowała zapalając się. Myśl użycia siły wybuchowéj prochu lub gazów wybuchających, nie jest nową, użycie siły elektrycznéj do zapalania takich mięszanin było już także wprowadzone w praktykę przez p. Moeff, który na téj zasadzie zbudował mały model machiny. Mięszanina wodorodu i kwasorodu, zapalana iskrą elektryczną, nadawała ruch tłokowi w cylindrze p. Moeff; przez palenie wodorodu z kwasorodem otrzymywał czczość, bo się tworzyła woda i działaczem w jego machinie było ciśnienie powietrza atmosferycznego; lecz wybuchy gwałtowne téj mięszaniny dwóch gazów przedstawiały wiele niebezpieczeństwa. P. Lenoir bierze mięszaninę 5 setnych gazu wodorodno-węglowego używanego do oświetlania, z 95 setnemi powietrza atmosferycznego. Ta mięszanina nie sprawia wybuchu, tylko daje rozprężliwy kwas węglany, azot i rozprężliwą parę wodną, i sprawia przez to działanie równe wysokiemu ciśnieniu pary w zwyczajnych machinach parowych. Jego machina, nader prosta, składa się z cylindra, w którego dwóch końcach urządzone są druty, między któremi przebiega naprzemian iskra elektryczna małéj machinki indukcyjnéj Ruhmkorfa. Mięszanina gazów wchodzi raz w jeden, drugi raz w drugi koniec cylindra, w miarę jak przesuwający się w nim tłok, siłą rozprężliwości gazów powstających z zapalenia się mięszaniny, popychany jest ku jednemu lub drugiemu końcowi cylindra. Tym sposobem elektryczność jest duszą tego mechanizmu. Aby tę machinę, która z resztą, począwszy od drążka przytwierdzonego do tłoku, podobną jest w dalszym składzie do zwyczajnych machin parowych, wprawić w ruch, otwiera się kurek od gazu zmięszanego z powietrzem i wpuszcza się go do cylindra, a zapalenie się gazu od iskry elektrycznéj popycha tłok, który odtąd zostaje w ciągłym ruchu, prędszym lub wolniejszym, stósownie do zupełniejszego lub mniéj zupełnego otwarcia kurka, mającego w tym celu podziałkę. Ta łatwość nadania zupełnie dowolnéj prędkości ruchu, jest jednym z najbardziéj uderzających przymiotów machiny p. Lenoir.

Ale przystąpmy do głównéj zalety tego wynalazku. Machina p. Lenoir, o sile jednego konia, wykonywająca to wszystko co podobnéj siły machina parowa wykonywać może, zużywa na 12 godzin trzy metry sześcienne gazu, czyli licząc metr po 6 centimów, wypada na godzinę na siłę jednego konia pół centima, to jest mniéj niż grosz, a zatém przeszło o połowę taniéj niż w machinie parowéj opalanéj węglem kamiennym. Mała objętość machiny nie mającéj kotła, ogniska, rezerwoaru wody i t. d., łatwość utrzymania w każdém miejscu gazu, taniość otrzymanéj siły, upowszechnić może tę machinę nawet w pojedynczych warstatach, mieszczących się w zwyczajnych mieszkaniach. Z warstatów robotniczych machinka ta przejść może i na ulice, na drogi publiczne, zastąpić miejsce koni, bo cóż łatwiejszego jak na jakimkolwiek wozie przymocować prostą machinkę pana Lenoir, z rezerwoarem kilku metrów gazu ściśniętego w małéj przestrzeni? Powietrze mamy wszędzie i nie zabraknie go nigdy; śmiało więc powiemy, że ten nowy sposób użycia powietrza za czynnik lokomocyi, jest jednym z najświetniejszych postępów nauki.

PIÉRWSZE PRZEDSTAWIENIE NA ŻYTOMIERSKIM TEATRZE KOMEDYI APOLLA KORZENIOWSKIEGO

pod tytułem:

DLA MIŁEGO GROSZA.

Jakkolwiek akcessyt przyznany téj komedyi na konkursie Żółkowskiego i przedstawienie jéj w Kijowie, wywołały już o niéj kilka przyjaznych i nieprzyjaznych wzmianek, oraz obszerniejsze nieco sprawozdanie p. Wacława Szymanowskiego w Gazecie Codziennéj Ner 308 i 309 z r. 1859; sądzę wszakże, iż mimo to mam prawo jeszcze słów parę o téj sztuce powiedzieć, tak ze względu na powszechne zajęcie, obudzone przez nią w naszéj publiczności, jako téż i z powodu ukazania się jéj na ‘utejszym teatrze i na półkach księgarskich, w pięknem, choć omyłkowém wydaniu p. Ohryzki.

Za zbyteczne uważam przytaczanie treści tego utworu, która zresztą bardzo jest prostą i niewyszukaną, idzie bowiem głównie p. Korzeniowskiemu nie o *bajkę*

ciekawą, tylko o wypowiedzenie *prawdy żywotnéj*; ztąd téż i ja tą prawdą chcę przedewszystkiém się zająć.

Sam tytuł sztuki pokazuje wyraźnie, że autor miał na celu wymierzenie chłosty tym, co dla *miłego grosza* wszystko radzi poświęcić, nie znając wyższego szczęścia w domowém i publiczném życiu, nad dobry byt materyalny. Z sercem przejętém bólem głębokim na widok tak strasznego upadku społeczeństwa, poeta, pełen oburzenia i zgrozy, dzielnie tu włada słowem, jakby mieczem ognistym, z wielką energią i siłą malując całą okropność, całą niecną szkaradę tego świętokupstwa, które wieczną wzgardą chciałby napiętnować. Słowo to, gorzkie, gryzące, wielu się zdaje za gwałtownem, za szyderczém, a prawda w niém wypowiedziana przesadą, nawet zgoła czarną potwarzą rzuconą na prowincyą całą, o któréj autor mówi, że się *robaczy w Żydów i przemysłowców*. Lecz zarzut ten niesłuszny łatwo odeprzéć przypomnieniem zacnéj postaci szlachcica, która, jakkolwiek może nie dość wyraziście skreślona, świadczy jednak dowodnie, że autor wcale nie myślał ogółu potępiać. Szlachcic ten mówi:

Bo przecie wiérzch społeczny kraju nie stanowi.
Statecznie patrzmy tylko: wszędzie ludzie nowi
A poczciwi powstają... Niech mi pani wierzy,
Kraj może miéć otuchę z téj naszéj młodzieży...
Są i starsi niektórzy...

O nim zaś samym Staropolski powiada:

Moje czucie pod wpływem serdecznym sią łzawi!
Kiedyś przed sądem Bożym on ich wszystkich zbawi,
Taka dusza obudzi życie choćby w grobie!

Ci zaś, którym tego niedosyć, których razi większość typów ujemnych w komedyi p. Korzeniowskiego i wyrazistsze ich wystawienie niźli dodatnich, niech pamiętają, że i w życiu one wyraźniéj się malują. Zasada jakoby dobrego było więcéj niż złego na świecie, który inaczéj ostaćby się nie mógł przed Bogiem, jest najbłędniejszą. Złego jest więcéj, ale dobre ma większą siłę żywotną, i nieraz jeden sprawiedliwy całe narody zbawia. A w utworze p. Korzeniowskiego już nie jednego, ale trzech sprawiedliwych widzimy: szlachcica, Józefa i Henryka, którego straszna ironia i sarkazm, jeśli są dowodem wzgardy i nienawiści dla tych, co jak straszna zmora gniotą piersi społeczeństwa naszego, jak upiór krew z niéj wysysają gorącą, to téż razem przekonaćby powinny, że wielka musi być miłość w nim dla tego kraju, gdy tych, co mu źle czynią, tak nienawidziéć umié. I czyliż można wątpić o téj miłości, posłyszawszy z ust jego choćby te tylko słowa:

Jeśli spotkałaś pani na téj ziemi
Człowieka, który życiem świadczył prawdzie Bożéj,
Kochał wielu, i za to przecierpiał najsroższéj,
Wolał łachmany dobra, niż złego byt złoty,
A niż ucztę odstępną, głodną śmierć swéj cnoty;
Jeśliś pani spotkała takiego człowieka,
A on od pani szczęścia, jak zbawienia czeka,
A serce jéj nie przeczy...

ANNA.

To hołdy mu złożę,
Lecz miłość potrzebuje poezji...

Zdolnażby była sama tylko nienawiść i zimna ironia na wyrzeczenie takie się zdobyć? A że o mniemaném dobrém towarzystwie tak się wyraża:

Dobre, w saméj rzeczy!
Dobre, by chrześcian dzielić na pogańskie kasty,
Lalkę zrobić z dziewicy, a damę z niewiasty,
I z obydwóch modniarki kształcić wyśmienite,
A mężczyzn poprzegnilać w trupy przyzwoite!
Dobre! więc co dobrego u nas zeń wykwita?
Czy *miłość* w niém ubogich bratniém sercem wita?
Czy *wiara* w niém nad nędzą trzyma krzyż swój Boży?
Czy błogosławi boleść i zbawienie mnoży?
Czy w błocie tam nie tonie *nadziei* kotwica?
Dobre — farbować fałszem zbezwstydniałe lica!
Dobre — sprowadzić karę, którą Bóg wymierza!
Dobre — czasem do śmiechu, często do pręgierza!

to jeżeli w tych słowach wiele jest goryczy, powinna ona być dla nas miarą wielkości bólu téj duszy, która pragnie żeby inaczéj było, która w inném miejscu tak się do kobiéty odzywa:

Ocknij się! spójrz w siebie!
I jeśli nędza moja warta jest litości,
Idź w życie w dawnéj swojéj uroczéj piękności.
Kochaj kogo wybrałaś! Domu twego cnotą
Bądź niczém nieskalaną! Bądź wdziękiem, prostotą,
Zacnością! A w téj cudnéj niewieściéj wszechmocy,
Bądź wszystkiém, co zamarło lub zagasło w nocy
Zapomnienia, odstępstwa i obojętności,
I rachunków obmierzłych, i niecnéj chciwości!
Ja zaś... tyle Bóg krzyży zesłał w me istnienie,
Że znam drogę pociechy... ona — przebaczenie!

Jeszcze więc raz pytam, czy zimna ironia i nienawiść mogą takiemi słowy przemawiać? O nie, zaiste!... a jeśli się ze mną spierać zechcecie, to wam powiem otwarcie, że taką *ironią* i *nienawiść* wolę sto razy, niż ową *miłość pobożną*, co radzi zarówno kochać złych jak dobrych i pokornie uchylać głowę przed podłością, szalbierstwem, pychą i głupotą, dlatego tylko, żeby *braci* przeciw *braciom* nie jątrzyć i społeczeństwa swego na wzgardę u obcych nie wystawiać; mam bowiem to przekonanie, że i najzjadliwsza książka *zgodnych* braci nie poróżni, a *zacnych* nigdy wzgardą nie okryje; kto zaś niecnocie schlebia i miłosiernie ją za parawan poszanowania ziemi rodzinnéj chowa, ten jest prawdziwym wrogiem społeczeństwa swojego.

Mimowolnie prawie sprawozdanie swoje zacząłem od wykazania bezzasadności tego zarzutu, którym wielu chce zaćmić wszystkie zalety téj znakomitéj sztuki, co już samą wrzawą różnojęzycznych zdań jaką wywołała, wielkiéj swéj żywotności dowodzi. Nie ręczę jednak za to, abym sam jéj nic do zarzucenia nie miał; owszem, zacząwszy *ab ovo*, nim do końca dojdę w moim przeglądzie, niejeden błąd pewno wytknąć mi w niéj przyjdzie.

Tak np. cały akt piérwszy, pod względem scenicznym, za chybiony uważam. Wiele w nim osób występuje na scenę po to tylko, aby z sobą rozmawiać, ani na krok jeden akcyi nie posuwając. Autor miał tu na celu wprowadzeniem typów z klass rozmaitych dać wierny obraz tego społeczeństwa, z którego wziął bohatérkę swéj sztuki, a któremu miły grosz jest najświętszém bożyszczem; ale konieczność zawarcia tego obrazu w ramach jednéj sceny, nie dozwoliła mu charakterów dostatecznie rozwinąć, w słowach zaś niewielu przez figury te wyrzeczonych, nie dość wybitnie typowość ich oddał. Zbiorowo wzięte, mają pewne znaczenie, lecz każda z osobna założeniu swemu nie odpowiada. Mówiąc to, mam przedewszystkiém na myśli pana, hrabię i księcia, bo szlachcic jest postacią dość sympatyczną przez poczciwość i prawość swoję, (chociaż i w nim energiczniejsze rysy bardzoby się przydały); Adam zaś, jako *jednostka* potrosze ekscentryczna, (typem mi się nie zdaje) już z saméj swojéj natury musiał nieco się jaśniéj nakreślić. Co do Józefa, największą téj postaci zaletą jest miłość gorąca ziemi rodzinnéj i owa wiara głęboka w ludzi, która prawie ogólną takich indywiduów cechę stanowią. I w nim jednakże rysy wybitniejsze i, że tak powiem, większa pełność charakteru, bardzoby pożądanemi były; tak bowiem, zwłaszcza stykając się ciągle z wyrazistym Henrykiem i pułkownikiem, trochę blado wygląda, w ostatniéj tylko scenie wznosząc się do téj wyżyny, na jakiéj staćby powinien. Henryk za to wyborny w całém znaczeniu tego słowa, równie jak i pan Karol, (b. porucznik wojsk Napoleona, półkownik dymissyonowany).

Przechodzimy nareszcie do najważniejszéj postaci, do bohatérki komedyi, do panny Anny. Autor, chcąc wykazać całą ohydę frymarczenia uczuciem, téj najstraszliwszéj zbrodni społecznéj, która kojarzy pary tak dobrane, jak *peo z assygnatą*, wydające na świat potomstwo jak *nowe ruble*, niestety często *fałszywe*, użył całéj potęgi pióra swojego, aby najjaskrawszém światłem otoczyć tego upadłego anioła, i dopiął zamierzonego celu. Piękna Anna wstręt i oburzenie najwyższe w każdym obudzić musi; widz zaś i czytelnik, nie zdając sobie sprawy z tego wrażenia, zarzuca autorowi sponiewieranie kobiéty, wręcz powiadając, że takiéj jak Anna, w żadném społeczeństwie niéma i być nie może, i że jednę tylko postać kobiécą wprowadzając do swojéj sztuki, postać tak ohydną, pan Korzeniowski wszystkie z nią razem niewiasty wzgardą i hańbą okrył. Na nieszczęście zarzut to po części jest słuszny, ale tylko po części; bo najprzód nie *wszystkie*, ale tylko takie, co jak Anna wyrosły bez matki, pod wpływem *takiego* ojca, tak *dobrego* towarzystwa i jakiéjś tam ciotki, kilkakroć wspomnianéj. Powtóre: że autor nie myślał sponiewierać kobiéty, najwyraźniejszym tego dowodem scena ostatnia, w któréj, na czarodziejskie zaklęcie serdecznego słowa Józefa, w jednéj chwili z ócz Anny spada ta zasłona, którą je *dobre towarzystwo* mroczyło, a która nie dozwalała jéj widziéć ani zacności, ani prawdy.

Odszedł, ale nademną, we mnie jego słowa!
Ja jak ze snu, ja inna, ja młodsza, jam nowa!
Nie! *ja dawna, lecz wzięta z wytwornéj méj nędzy!*
Więc jest jeszcze na świecie coś, oprócz piéniędzy?!
Ach! jakże było piękne jego uniesienie!
Jaki zacny i rzewny! Teraz me istnienie
Jemu! A mąż mój przyszły! Jakże w duszy ciemno!
Ja go kocham! mój Boże! zmiłuj się nademną!

Te słowa, ten głos serca, nagle przebudzonego potęgą duszy zacnéj i kochającéj, to uznanie swéj nędzy, to poczucie miłości i obowiązku, przekonywa że fałsz i zdrada z zewnątrz tylko do niéj przylgnęły, że autor kobiétę, wziętą bezwarunkowo, ma za czystą i świętą, i że, w czarnych kolorach swą bohatérkę aż do ostatniéj sceny malując, chciał tylko pokazać, jak okropne są wpływy tego towarzystwa, co *ducha w sobie zgasiwszy*, brnie w bagniskach materyalizmu, goniąc za błędnym ognikiem *miłego grosza*.

Z tém wszystkiém publiczność nasza gniéwa się na autora za Annę, za kobiétę. Może być że z czasem, dokładniéj rozpatrzywszy się w tym niepospolitym, a więc niełatwym do jednorazowego przeniknienia utworze, lepiéj go zrozumié, i choć w części przekonanie moje podzieli; ale w téj chwili autorowi wraz zemną wypada dla widzenia ogółu zrobić pewne ustępstwo, wypada się zgodzić, że może doprawdy byłoby lepiéj, gdyby obok Anny stała druga, zacniejsza postać kobiéca; albo żeby ona, nie tak złą i przewrotną sama z siebie będąc, miała przy sobie na scenie postawioną tę *zacną* ciotkę doradczynię, coby ją wątpiącą i walczącą z instynktowym wstrętem do złego, ośmielała i popychała niejako ku zbrodni; albo nareszcie, gdyby ta Anna nie była 22-letnią panną, lecz raczéj młodą wdową po starym mężu. Sądzę że utwór nicby na tém nie stracił, nicby mu nie ubyło z zacnéj dążności, a ogół czytelników i widzów pojąłby go i przyjął jeszcze sympatyczniéj.

Z teatru publiczność wyszła rozdwojona w zdaniu, ale z bardzo silném wrażeniem, które się dotąd jeszcze nie zatarło, a jakkolwiek każdemu za swój miły grosz wolno *miły grosz* sądzić, to wszakże niewątpliwa, że gdyby ten utwór nie miał w sobie żywotności wysokiéj, pewnoby tak wielkiego ruchu w opinii ogółu nie obudził.

Adam Pług.

OBRAZY WIELKOPOLSKIE.

PRZEZ

F. S.

(Dokończenie).

Mądre przechodziło różne koleje i zmiany; kilkakrotnie palone, odbudowało się napowrót. Przechody wojsk francuzkich dały się widać tutejszym mieszkańcom we znaki, bo ich zapomnieć nie mogą. Kto był téj wsi założycielem, trudno dojść prawdy z bajecznego podania ludu. Kapituła poznańska posiada zapewne o tém w swoich archiwach bliższe wiadomości. Podaję tu tylko, com słyszał z ust mędrskich mieszkańców:

Przed dawnemi laty przejeżdżał przez te okolice król polski z Krakowa do Poznania. Miał konie czarne jak kruki, a takie bystre i rącze, że karétę królewską unosiły w powietrzu. Liczny poczet panów i wojskowych towarzyszył królowi. Gdy przybyli na miejsce gdzie dziś Mądre stoi, karéta królewska zarznęła się tak głęboko w piasku, że jéj sześć koni ruszyć nie mogło. Królowi było spieszno do Poznania, niecierpliwił się i gniéwał. Przyobiecywał obecnym wielką nagrodę, jeśli potrafią swoim rozumem wyprowadzić go z biédy, ale nadaremnie. Pewien chłopek, zdziwiony tak świetnym orszakiem, stanął opodal, przypatrując się szamotaniu koni u karéty, któréj ruszyć nie mogły. Król go spostrzegł i zawołał: „Pójdź tu przyjacielu, może ty będziesz mądry, bośmy wszyscy zgłupieli.“ Chłopek ośmielony przybliżył się powoli, a drapiąc się w głowę, wyrzekł do króla: „Proszę paniczka, ja tam nie mądry, ale wyjechać z piasku to i głupi potrafi.“ „No to sprobuj!“ „A co za to dostanę?“ „Wór pieniędzy i milę huby.“ „O! to mało!“ Wszyscy przytomni panowie śmieli się do rozpuku, a król dodał: „Jesteś mądry, bo umiész

korzystać z łaski pańskiéj; ale sprobuj wyjechać z piasku.“ Chłop odprzągł wszystkie konie, zostawiwszy tylko dwa u karéty, i rzekł do króla: „Paniczek nie taki ciężki, te dwa pana uciągną, a reszta mi się przyda do milowéj huby.“ „To mądry!“ zawołał król, „to mądry“ powtórzył orszak. „Niech tak będzie.“ Wtém chłopek przeżegnał konie biczem, zakrzyknął „wiu!“ i na podziw wszystkim wyjechał z piasku na twardą drogę. Król dotrzymał obietnicy, dał chłopu wór pieniędzy, milę huby, cztéry konie i kazał na tém miejscu wieś wybudować, pod nazwiskiem „Mądre.“

Kilka jeszcze krąży podań, zbliżonych mniéj więcéj do prawdy historycznéj, dotyczących wsi Mądre, które tu w krótkości wypisuję. Pan Cholewa, właściciel Nadziejewa (a zapewne i Mądrego, bo te dwa folwarki tworzą dziś jedno dominium) był wielki uczony. Siedział ciągle w domu, pisał mądre księgi, czytał biblią; powiadano nawet, że trzymał z czartem. Jednego razu pojechał on na sejmik do Środy, i kiedy szlachta obraduje i zgadza się na jedno, pan Cholewa wykrzyknął: „Nie pozwala Cholewa z Nadziejewa!“ i uciekł. Rozgniewana szlachta goni za filozofem, wołając: „Kije mu!“ Dopędza go w drodze i nie chcąc kalać szabli na zdrajcy, kijami go dobija. Na tém miejscu powstała późniéj wieś Kijewo.

Podanie o założeniu kościoła mędrskiego jest następujące: Wielki jeden generał stanął obozem pod wsią Mądre. We śnie ukazuje mu się Matka Boska Bolesna, z ciałem Chrystusa na łonie swojém i płacze nad wojskiem polskiém. Generał, gdy się przebudził, w dziennym rozkazie sen ten ogłosił. Sypnęli się żołnierze, rękami ziemi nanieśli i na wysokiém wzgórzu wystawili kościół drzewiany.

Kościół ten stoi po dziś dzień jeszcze, słynny cudami. Przed 20 laty rozebrano wieżę grożącą upadkiem, obito tarcicami ściany zewnętrzne, podmurowano fundamenta i przekształcono ołtarze.

Nie wchodząc w szczegóły historyczne, przytoczyć tu trzeba, że osada mędrska, dosięgająca nawet napadów czeskich, podczas których, jak wiadomo, z okolic Środy uprowadzili z sobą Czesi mieszkańców Giecza, jest jedną z dawniejszych.

Tu się przechowały przesądy i gusła pogańskie, tu się utrzymała, mimo cywilizacyi, wiara w zabobony, bóstwa polne i leśne, zmory, czary i t. p. Niejeden wieśniak zamożny padł ofiarą, gdy ciota zastawiła sidła na jego mienie i życie; niejeden chwacki parobczak dostał się pod jarzmo zmory, wysechł i znędzniał z bezsennych nocy. Śmiéch pusty bierze, słysząc to twierdzenie ludu, że dziewczęta najładniejsze są zwykle czarownicami, bo się potrafią upiększyć różnemi ziołami, jak się parobczaki w piosnkach wyrażają:

Niedaleko wieś ode wsi,
Tylko granica;
Która dziewka najładniejsza,
To czarownica

Jest w tém i cokolwiék prawdy, bo niejeden młody oszalał z miłości, a nawet życie sobie odebrał, gdy z niego zadrwiła piękna dziewczyna. Lękają się teraz powszechnie pięknych dziewoi, bo to podobno same bałamutki i czarownice, posiadające jakiś talizman przyciągania i ostrożnych do siebie. Do dziś dnia wskazują w okolicach Środy miejsce zbrodnią nacechowane, gdzie parobczak powracający z mędrskiego odpustu z swoją kochanką, piękną Marylą, przebił ją nożem w lesie pod drzewem za to, że z innym w karczmie tańczyła i do niego się przymilała. Sam sobie także odebrał życie. Każdy przechodzień dorzuca kamień lub gałęź drzewa na grób kochanków, pochowanych na miejscu zaszłego morderstwa.

Jeżeli zresztą zwrócimy się myślą w dawniejsze życie Mędrzan przed laty pięćdziesięcią i późniéj, jeżeli porównamy tę liczną osadę składającą się z 30 rolników z dzisiejszą resztką, znajdziemy wielką różnicę we względzie zwyczajów domowych, obyczajów, ubioru i języka. Dziś ustało wszelkie życie towarzyskie, ustały owe wspólne schadzki wiejskie; każdy żyje tylko dla siebie, zajęty pracą i powiększaniem swojego dobytku. Powodem tego prawa krajowe, wygórowane podatki, wysoka cena gruntu, w ogóle spekulacya, którą się lud wielkopolski przejmuje od Niemców dybiących na jego upadek. Zmniejszyła się liczba pobożnych uczęszczających dawniéj na odpust do Mądrego, znikła powaga i godność tego cudownego miejsca, ustały wspólne publiczne zabawy, gdyż ani jednéj karczmy niéma w mędrskiém siole; zgoła z postępem czasu zmieniła się zupełnie postać mędrskiéj osady. Młodsze pokolenie wcale niepodobne do dawnego, więcéj dumne i odosobnione. Ubiór, składający się dawniéj z długiéj sukmany granatowéj lub białéj, krótszego pod spodem brzuślaku taśmami przeszywanego, siwéj czapki z kolorowemi wstęgami, lub nizkiego kapturka z siwym barankiem, ustąpił dzisiejszym kusym kapotom, niemieckim furażerkom i wysokim kapeluszom. Umilkły pieśni kantyczkowe, zasnęły wesołe piosenki karczemne, ustały zapustne zabawy, wielkanocne kwesty, dyngusy. Język, który na wieczornicach tak obficie płynął w gadkach i powiastkach z ust sielskich koryfeuszów, dziś zamilkł przed napływem obcych wyrazów. Nieznośne „jo“ przebija się wszędzie, brzydkie samolubstwo ogarnęło umysły, chęć wywyższenia się zaraziła wszystkich. Chłopek, wydając córkę za mąż lub żeniąc syna, musi im dać po hubie roli, lub po kilkaset talarów, i to jeszcze przed ślubem. Rzadko się zaś zdarza, aby syn majętnego kmiecia zaślubił córkę biédnego wyrobnika, bo nie chce przekroczyć zasad arystokracyi wiejskiéj, któréj śmieszną stronę w wybornym obrazku „Chłopi arystokraci“ przedstawił nam jeden z autorów dramatycznych (Wł. L. Anczyc).

Tak więc dzisiejsza postać ludu z okolic Środy po większéj części zmieniona; miłość, jedność i życie wspólne pozostały tylko w podaniu; zwyczaje dawniejsze wstępują ze starcami do grobu, a owym świętym legendom i strasznym balladom mało kto wierzy z dzisiejszych, bo oświata i postęp czasu przytłumia wszystko co swojskie, potępia wszystko co dawne, dźwiga się z błędów, a wpada w błędy większe.

KSIĘGARZ ULICZNY.

(Obrazek z Wilna).

Aksamitem i złotem świetnieją księgarnie,
Aksamitna, złocista publiczność się garnie,
A książki przepłacane, chwytane z roskoszą,
Pożytek i zabawę po Litwie roznoszą,
I nam, którzy do druku gotujemy skrypta,
Do spartańskiéj polewki dana soli szczypta.
Dzięki Bogu i za to! a czy pamiętacie,
Kiedy w pańskim pałacu i w szlacheckiéj chacie
Starczył za wszystkie książki wileński kalendarz,
A za wszystkie gazety wioskowy arendarz?
Dziś cała Litwa czyta, dziś wszystko jéj znane,
Więc pytasz sam u siebie: kto sprawił tę zmianę?

Patrzcie! ja go wam wskażę, przyparty do ściany
Stoi Żyd siwobrody, okryty w łachmany,
Oczy krwawe, zamglone, zgrzybiałość na twarzy,
Pod pachą stara książka, to Nestor księgarzy!
Nie szydźcie z téj postaci! lat pięćdziesiąt blizko
Jak zajął przy téj ścianie swoje stanowisko,
I przechodniom zalecał bibułę i szmaty,
Za miedzianą monetę dał złoto oświaty;

Gdy wielka pieśń i mądrość Hellady i Romy
Górowała nad naszéj mądrości atomy,
Gdy w słowie Cycerona, w Horacego nócie
Znajdowano wielkości i piękna poczucie,
On sprzedawał łacińską książeczkę *in quarto*,
Zabrudzoną, z początku i końca odartą,
Sprzedał za kilka groszy i w dodatku powie:
„Niech pan czyta szczęśliwie! niech służy na zdrowie!“
Zdrowież było w tych książkach! słowo wrzące czy-
[nem,
Naczytawszy się Rzymian, byłeś Rzymianinem,
Duch nabiérał potęgi, opływał w roskoszy,
Za mizerną zapłatę kilkunastu groszy.

A nędzarz co to sprzedał, patrz jak błogo leci
Kupić czarnego chleba dla żony i dzieci!
Jak za ten czarny chlebek, plon swojego żniwa,
Panu Bogu dziękczynne psalmy wyśpiéwywa!

Pogadajmy z nim sami: wspomniał czasy młode,
Westchnął, oparł na kiju osiwiałą brodę,
Otarł czerwone oczy;
—„Panicze! panicze!
Tyle dobrego zdrowia i setnych lat życzę,
Ile przez moje ręce przeszło za lat dawnych,
Prawdziwych Elzewirów w pargamin oprawnych.
Czy to raz, professorska figura zgarbiona
Płaciła po dukacie listy Cycerona.
Za Plautusa egzemplarz podarty i stary,
Pan Grodek mi zapłacił aż cztéry talary,
A ja, licząc pieniądze, ściskam ramionami,
Bo na co im te książki, kiedy piszą sami?“

„Rarytne były czasy! mądrości ogromy,
Grodek, Śniadeccy, Czacki popisali tomy,
Książki, choć na bibule, szły jak assygnata,
Dużoż ich sprzedawałem w staroświeckie lata!
Czy żyją, czy umarli, daj Boże im zdrowie!
Kupowali je hurmem akademikowie,
Ale to naród biédny, obciążony pracą,
Niejeden chciałby kupić... a tu niéma za co!
To ja tak myślę sobie: no! szkoda mi dzieci,
Dam na kredyt lub w zamian literackich śmieci,
Od Baki do Newtona wszystko mi się przyda;
A poczciwi panicze pokochali Żyda,
Grosz ciągle, choć powoli do worka się sączy,
Aż przyszedłem nareszcie do nowéj opończy.

„W zamianę dostawałem stare folijały:
Rejów, Paprockich, Wujków, Stryjkowskich zbiór cały,
Łazarzów, Piotrowczyków wydania bogate,
I pamiętam tytuły, pamiętam ich datę.
Nie chwaląc się napróżno, znam druki najrzadsze,
Że czasem i w Bentkowskim pomyłki dopatrzę.
Niepopłatny był towar, mało znany komu,
To ja... z piętra na piętro... od domu do domu...
Obnoszę, pokazuję, rarytność dowodzę,
Wypchną mię przez drzwi jedne, ja drugiemi wchodzę.
Tak budziłem u panów do książek ochotę,
Kolońskiego Kromera sprzedam za dwa złote,
I rad ze staroświeckich gotyckich rupieci,
Dzięki Bogu! powiadam, będzie chléb dla dzieci.

„No! pana Mickiewicza zabłysnęła chwała,
Ale już postarzałem, broda posiwiała,
Ręce znużone dziełmi Tacyta, Plutarcha,
Opierałem na kiju stary patryarcha;
I nieraz gdy książeczkę roznosiłem małą,
Samemu na ten towar patrzéć się nie chciało;
Bo co to wart być może tom taki niespory?
Jam przywykł do *in folio*, do *quarto majori*.

„No! w tém już pobłądziłem, bo to dobre dzieła;
Wallenrodom i *Dziadom* Litwa przyklasnęła.
Czy pan wiesz?... były cuda, co i sen nie marzy,
W pół godziny sprzedałem.... dziesięć egzemplarzy!
A wziąwszy dziesięć złotych, raduje się dusza:
Ha! to musi być większy od Horacyusza!
Pamiętam jakby dzisiaj, gdy w rzewnéj podzięce
Autorowi Grażyny całowałem ręce...

„Lecz począłem ubożéć, czas płaci, czas traci,
Nowe kramnice książek otwarli bogaci,
A w każdéj pełno ludzi, ciekawość ich zdjęła,
Każdy się doptyuje o najnowsze dzieła;
A ja, najstarszy księgarz, com sprawił tę zmianę,
Stoję, zgarbione plecy oparłszy o ścianę.
Co staremu do tego czy wilgoć, czy słota?
Zalecam przechodzącym romans Walter-Skota,
Egzemplarz nie kompletny... cóż ja biédny zrobię?!
Pan Grodek gdzieś wyjechał, pan Mickiewicz w grobie.
Pamiętam ich, pamiętam... ja żyłem z ich darów,
Teraz już niéma u mnie tak dobrych towarów...
Zmalał czas, pomaleli nasi literaci,
Ale, jak mówią ludzie, czas płaci, czas traci.
Kupujcie Walter-Skota! — sprzedaję niedrogo,
Bo biédne moje wnuki z głodu pomrzéć mogą.“

Wtém kareta księgarza po bruku się toczy,
I błotem zabryzgała ślepe starca oczy,
Otarł zbolałe oczy i podniósł je w górę:
„Och! na co ja stworzyłem tę literaturę?!“

Wł. Syrokomla.

DONIESIENIA.

NOWE DZIEŁA POLSKIE

wydane od 1go Stycznia 1857 r. nakładem i drukiem Księgarni.

JÓZEFA ZAWADZKIEGO

w Wilnie.

Biblioteka Podróży i Malowniczo-Historycznych opisów różnych krajów. Wydawana przez Adama Zawadzkiego;

I Nowe Swiaty, przez Niboyet, tłómaczenie J. Laskarysa. 1 tom in-12. 1857 r. rs. 1 k. 20.

II. Podróż do Szpicbergu, przez Panią D'Aunet, przekład J. Laskarysa. 1 tom in-12. 1857. . . . . rs. 1.

III. Japonia, przez Fraycinet. 1 tom in-12. 1857. . . . . kop. 90.

IV. Lato na Baltyku i Morzu północném. Wspomnienia z Podróży po wybrzeżach Danii i Pruss, przez Xgo Marmier. 1 tom in-12. 1859 . . . . rs. 1.

V. Ośm dni pod Równikiem, Podróż po Amazonce w Ameryce południowéj, przez E. Carrey. 1 tom in-12. 1859. rs. 1.

VI. Wychodźcy w Luizyannie i Krzysztof Kolumb Lamartina. 1 tom in-12 1860 r. 1.

VII. Araukania i jéj mieszkańcy. Wspomnienia z podróży po południowych prowincyach Rzeczypospolitéj Chilijskiéj, przez Ignacego Domejkę członka uniw. w Chili. 1 tom in-12. 1860. k. 90.

VIII. Podróż Humorystyczna do Paryża, Amsterdamu i Wenecyi, przez Ars. Houssaye. 1 tom in-12. 1860. rs. 1 k. 35.

Chodźko Ignacy. Dwie konwersacye z przeszłości. 1 tom in-12. 1857. rs. 1 k. 35.

— Pustelnik w Proniunach. Powieść w 2ch częściach (Podań Litewskich serya III). in-12

— Próby Nowego Dykcyonarza, wydaje pan Wirszajtos, niegdyś Szubrawiec Rustykanin, 1 tom in-12. str. 107. 1860. . . kop. 65

Drzewiecki Józef. Pamiętniki z czasów wypraw Legionów Polskich do Włoch. Z życiorysem autora, przez J. I. Kraszewskiego, z 3-ma portretami. 1 tom 8-vo. 1858 r. 2 k. 50.

Domejko Ignacy, *Araukanja*, patrz Biblioteka Podróży.

Falkowski Ks. Domin. Kazania Roratne. 1 tom 8vo. . . . . rs. 1. (na papierze białym) . . rs. 1 kop. 20.

Felińska Ewa. Pamiętniki z Życia. Serya II. 2 tomy 12 mo. 1860. . . . rs. 3.

Groza Al Trzy palmy. Powieść ze Wschodu. 16-mo. 1857 . . . . kop. 40.

— Mozaika Kontraktowa. Szkice. 16-mo 1857 kop. 60.

— Pamiętnik nie bardzo stary. 16mo. 1858. r. 1.

Horain Jul. Chwile stracone. Szkice i powieści. in-12. 1857. . . . . kop. 75.

Jabłoński Gwido i Dumki. Poezye. Nowe wydanie. 16. 1857 . . . .kop. 45.

Jeż. Teod. Tom. Handzia Zachornicka. Powieść 1 tom in-12 . . rs. 1 kop. 35.

Kaczkowski Zygmunt. Bajronista. Powieść spółczesna. 3 tomy in-12. 1857 r. 4 k. 50.

— Grób Nieczui. Powieść z ostatnich lat XVIII wieku. 4 tomy in-12. 1858 . . . rs. 5.

Korzeniowski Józef. Krewni. Powieść spółczesna. 4 tomy in-12. 1857. . . . . 5.

— Młody Mąż. Komedya w 3ch aktach. Wierszem Gentilio Bellini. Obraz dramatyczny. in-12. 1857. . . . . kop. 75.

— Szczęście za Górami. Powieść we 2ch tomach 1858. . . . . rs. 2 kop. 25.

— Mąż i Konkurent. Komedya w 3ch aktach Wierszem in-12. . . . . kop. 45.

— Ofiara i Sumienie. Dramat opowiadany. 1 tom in-12 . . . . . rs. 1 kop. 35.

Kozłowski Szymon (Ksiądz). Historya Swięta dla młodzieży. 2 tomy in-12. z 2ma mapkami Ziemi Sw. i Palestyny rs. 1 kop. 20. na papierze welinowym . . . . . rs. kop. 50. (Dzieło to zostało przyjęte z polecenia JW. Ministra Nar. Oświecenia do użytku młodzi szkolnéj po wszystkich instytutach Imp.)

— Historya Swięta i Katechizm dla Dzieci w skróceniu, in-12 . . . . . kop. 30.

Kraszewski J. I. Pamiętniki Jana Duklana Ochockiego z pozostałych po nim rękopismów przepisane i wydane, 4 spore tomy in-12 1857. . . . . rs. 6.

— Boża Czeladka. Powieść we 3ch tomach. 1858. . . . . rs. 3 kop. 50.

— Metamorfozy. Obrazki we trzech tomach. 12-o. . . . . rs. 3.

— Historya Kołka w płocie. 1 tom 12-mo 1806 . . . . . rs. 1.

Kremer Józef (autor listów z Krakowa). **PODRÓŻ DO WŁOCH**, 5 sporych tomów, in-8vo z kilkudziesięcią umyślnie do tego dzieła sporządzonemi drzeworytami. Cena prenumeracyjna rs. 10, a z przesłaniem pocztą rs. 12. Cena ta po wyjściu tomu 3go z powodu nadspodziewanie powiększonéj objętości dzieła, podniesioną zostanie do rs. 12, a z pocztą rs. 14. Pierwsi 900 prenumeratorowie, którzy całkowitą prenumeratę na to dzieło złożą otrzymają je na papierze welinowym glasowanym i prócz tego jako premium sztych in folio, przedstawujący Sąd ostateczny Michała Anioła z Kaplicy sykstyńskiéj w Rzymie. (tom I i II już wyszły).

La Gueroniere. Napoleon III i Włochy. 8vo. . . . . kop. 35.

Lipnicki (Ksiądz). Życie, Cuda i Cześć S. Kazimierza Królewicza Polskiego, z wizerunkiem na stali rytym. 1 tom in-12. 1858. rs. 1 kop. 35.

Małe a Prawdziwe. Opowiadania przez autorkę „W Imie Boże" in-12. 1857 r. 1 k. 20.

Michelet. Ptak. Przekład z 5go wydania poprawnego i pomnożonego. Przez Wacława Przybylskiego in-12. 1859. . . rs. 1.

Moniuszko Stanisław. Szósty Spiewnik Domowy, zawierający Ballady i Poezye Adama Mickiewicza, z portretem tegoż najautentyczniejszym podług słynnéj litografiii, nader dziś rzadkiéj, Toulliona w Paryżu r. 5.

— — **Duetino**, z opery Jawnuta . kop. 75.

— — **Moje Bogactwa**. Piosnka I. N. Jaśkowskiego, śpiewana w operetce Jawnuta kop. 15.

Najpiękniejszy Dzień w życiu. Książka dla młodzieży przygotowującéj się do pierwszéj kommunji; przekład z francuzkiego. 16. 1859. . . . . kop. 60.

Padalica Tadeusz. Listy z Podróży 3 tomy in-12. 1859. . . . rs. 3 kop. 75.

Proniewska Karolina. Piosneczki 16-mo. 1858 . . . . . rs. 1.

Przybylski Wacław. Przekłady i Studya. in-12. 1857 . . . rs. 1 kop. 35.

Pług Adam. Duch i Krew, kilka zarysów z życia towarzyskiego 3 tomy in-12 r. 2 k. 50.

Rituale Sacramentorum, ac aliarum ecclesiae Romano-Catholicae caeremoniarum. Ex Rituali Synodi provincialis petricoviensis depromptum. Editio nova, aucta et emandata in-12. 1858. . . . . rs. 1 kop. 35.
Oprawne w skórkę . rs. 1 kop. 80.
Oprawne ze złoc. brzeg. . . rs. 2.
Oprawne w safian ze zło. brzeg. r. 2 k. 25.

Snarski S. (Ksiądz). Dzieje Kościoła Rzymsko-Katolickiego, w krótkich szczegółach zebrane. Dzieło podręczne dla młodzieży szkolnéj. 1 tom in-12. str. 543. 1859 r. 1 k. 20. na pap. białym . . . rs 1 kop. 50.

Tryppln Teodor. Dwanaścioro Cudownych dzieci. Zbiór 12tu życiorysów dla użytku młodzieży i jéj kształcicieli. in-12. 1859. . . . . rs. 1

Wielki i Swięty Tydzień, czyli nabożeństwo Wielkiego Tygodnia, w języku łacińskim i polskim; wydany na nowo staraniem X. Szymona Kozłowskiego Rektora Wileńskiego rzymsko-katolickiego seminarium Str. 448. in-12. 1859 (na papierze białym) . . . . . rs. 1 kop. 65.

W Imie Boże—Daléj w Swiat, przez Gabryellę z G. P. wydanie nowe, poprawne i pomnożone in-12. 1858 . . kop. 60.

Wiseman. Kardynał. Lampa w Przybytku Pańskim, przekład Juliana Horaina. in-12 k. 50.

Wolski Włodzimierz. Poezye. 2 Tomy. 12. 1859 . . . . . rs. 2.

Zdanowicz Aleks. Szkic Historyi Polskiéj dla dzieci w dwóch kursach; z dużą tablicą symboliczno-chronologiczną, nader ozdobione chromolitografowaną, i mapką dawnéj Polski in-12. str. 322. 1859. rs. 2 k. 25.

Znajdują się pod prassą:

1) **Biblioteka Podróży** i malowniczo-historycznych opisów różnych krajów Serya IX. Anglicy i Indye, przez E. de Valbezen, we 2ch tomach. X. Szkice obyczajowe i Podróże po Ameryce Filareta Chasles. 1 tom in-12.

2) **Gaume Ks**. Przewodnik dla spowiedników przekład ks. Rokickiego prof. sem. wileńskiego.

3) **Jeż Teod**. Szandor Kowacz. (Powieść z czasów ostatniéj wojny węgierskiéj).

4) **Korzeniowski** J. Pustynia, obraz dramatyczny w 1 akcie.

5) **Kraszewski** J. I. Podróż Króla Stanisława Augusta do Kaniowa w r. 1787, według listów Kazimierza Konst. hr. de Bröl Platera, starosty inflantskiego.

Kraszewski. Caprea i Roma. Obraz z Igo Stulecia 4 tomy.

6) **Kremer Józef**. Podróż do Włoch. tom IIIci.

7) **Lipnicki Aug**. (Ksiądz). Zasady Kaznodziejstwa czyli nauka opowiadania Słowa Bożego, oparta na podaniach i wzorach pisma S., Ojców kościoła, poważnych pisarzy i najcelniejszych kaznodziejów polskich, we 2ch częściach.

8) **Tarnowski Jan**, Hetman. Księgi o gotowości wojennéj, z notami historycznemi i przedmową M. Malinowskiego.

9) **Ziemęcka Eleon**. Studya Filozoficzno-Religijne 1 Tom 8-vo.

UWIADOMIENIE

DLA

PRZEMYSŁOWCÓW I PRZEDSIĘBIERCÓW.

Niżéj podpisany technik i fabrykant, poleca się każdego czasu do projektowania i wykonywania wszelkiego rodzaju przemysłowych zakładów, jako to urządzania:

Cukrowni wedle najlepszéj metody i najpewniejszych zysków, bez raffineryi lub z takową.

Fabryk wódek, spirytusów, likierów, araków, z surowych produktów, jako to: żyta, jęczmienia, pszenicy, ziemniaków, buraków i t.d.

Fabryk cykoryi.

Fabryk sody, soli glauberskiéj, i t. d.

Hut ałunu i kwasa siarkowego.

Salin, rafineryi i soli.

Farb blejwasowych i octu.

Fabryk krochmalu i krochmaliku.

Fabryk nowego srebra i innych wyrobów lanych, z blachy i drutu.

Sprowadza i urządza wszelkie apparaty i machiny najnowszéj konstrukcyi do tych zakładów potrzebne, przekształca dawniejsze fabryki, zdaje sąd o ich trwałości, doskonałości i innéj potrzebie. Wreszcie, poparty najlepszemi świadectwami i wieloletniém doświadczeniem, podemuje się w każdym czasie technicznego i kupieckiego zarządu na wyższą skalę urządzonych fabryk

Stuttgart.
W Królestwie Witembergskiém.

Rudolf Leidenfrost.
Technik i fabrykant.

Podpisany poleca także wykształconych techników i chemików do kierowania i zarządu fabryk.

DYREKCYA PRZESYŁEK

WÓD MINERALNYCH

Z EGER-FRANZENSBAD W CZECHACH.

Zawiadamia niniejszem szanowną publiczność, że wszystkie większe składy wód mineralnych, w Niemczech i zagranicą, zaopatruje ciągle świeżemi posyłkami, jakoteż dopełnia w najkrótszym czasie wszelkie przesyłki zamówionych u tejże Dyrekcyi następujących wód leczących.

I. Źródło Franciszka (Franzensquelle), najdawniéj znane z tutejszych źródeł mineralnych. Woda ta jest szczawą alkaliczno-żelazistą, nader przezroczysta, musująca, bardzo przyjemnego smaku; ożywiająca i łatwa do strawienia, zawierająca w sobie najwięcéj soli żelaznych.

Działa najskuteczniéj na żołądek i trzewy, podwyższając siłę trawienia w tych organach; ztąd powstaje oddziaływanie powiększające ilość soków, a czystość i regularność obiegu krwi. Chemiczna analiza p. *Jana Floryana Kellera* professora w Wiedniu dowiodła, że w butelkach przesyłanych, napełnionych wodą z źródła Franciszka, w skutek odpowiedniego opatrzenia i zakorkowania, po długim jeszcze czasie utrzymuje się wielka ilość rozpuszczonego żelaza, co dla lekarza stanowi rzeczywiście pożądany przymiot, jakiego po wodzie żelaznéj oczekuje.

Źródło Franciszka: 1) leczy wszystkie choroby powstające z nieprawidłowego tworzenia się krwi. 2) Cierpienia, które po znacznych krwotokach, utracie soków, porodach i febrach nerwowych powstają. 3) Skrufuły i chorobę angielską. 4) Używa się nakoniec jak dopełnienie leczenia po wodach Karlsbadzkich.

II. Źródło solne (Salzquelle), woda alkaliczna czyszcząca, zasługuje na polecenie, jako jedna z najłagodniejszych i najłatwiejszych do strawienia, ze znanych wód mineralnych; w razach uderzania krwi do głowy, albo gdy inne wody mineralne, sprawiają lekkie krwi wzburzenia, może być używaną z najlepszym skutkiem, jako też i dla chorych mało używających ruchu, lub przymuszonych pić wody w łóżku, źródło to jest najwłaściwszem.

Źródło solne działa szczególniéj na chorobliwe drażnienie błony szluzowéj, a więc jest pomocne: 1) W cierpieniach powstających z chorobliwéj czułości żołądka i kanału odchodowego; w braku apetytu, powstawaniu kwasów i gazowych wyziewów, zgagi, odbijania się wraz z rozlicznemi cechami hypokondrycznych objawów. Woda z tego źródła nieco ogrzana zmieszana z mlekiem lub serwatką leczy powtarzające się często katary żołądkowe połączone boleści organu tego. 2) długotrwałe zadrażnienia błony szluzowéj w krtani. 3) Gromadzenie się flegmy w płucach i tchawicy przy często wracających się katarach, zwłaszcza u słabowitych i delikatnych osób. 4) Hemoroidy i długotrwałe katary. 5) Przeciw kamieniowi w naczyniach moczowych. 6) Przy odchodzie flegmy zadcwnionym.

III. Źródło łąkowe (Wiesenquelle), woda ta jest łagodną szczawą żelazistą, działającą na kanał odchodowy, szczególniéj u osób cierpiących na hemoroidy, a mianowicie: 1) Przy nagromadzeniu się nieczystości w żołądku i kiszkach. 2) Przy nieprawidłowém tworzeniu się krwi, nerwowém przepełnieniu i rozdęciu organów brzusznych. 3) W podagrze.

IV. Nowe źródło (Neuquelle), tak w częściach składowych, jak i skutkach podobnem jest wodzie z źródłu Franciszka, *działa jednak przeważnie na cierpienia i części rodnych i naczyń moczowych.*

Wody te mineralne przesyłają się w kamionkach, albo butelkach opatrzonych etykietą, z nazwiskiem źródła i cynowemi kapselkami, na których rok wybity. Ceny, jako i obszerniéj wyłożone uwagi praktycznych lekarzy, pod względem uznanych powszechnie skutków tych wód, znajdują się we wszystkich naszych składach wód mineralnych, jako też w Dyrekcyi przesyłek wód mineralnych w Eger Franzensbad.

Winc. Pröhl Inspektor. ***Dr. Koestler*** Dyrektor Źródeł.

Doniesienia przyjmują się na takich samych warunkach, jak w innych pismach peryodycznych Warszawskich.

W Drukarni J. Ungra. — Wolno drukować. — Warszawa dnia 26 marca (7 kwietnia) 1860 r. — Starszy cenzor, *F. Sobieszczański.*